Nr. 21. Lwów — Piątek dnia 25 Stycznia. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: rz. k. Nawr. św. Pawła; gr. k. Jermyła i Str. — Jutro: rz. k. św. Polikarpa; gr. k. SS. Oteć w S.
Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**
Wschód słońca g. 7 m. 45. Zachód „ 4 „ 42.
Długość dnia g. 8 m. 57. Przybyło dnia od wczoraj m. 3

Przegląd polityczny.

Lwów 24 stycznia.

W wojnie chińsko-japońskiej znowu nastąpił moment krytyczny, albowiem Anglia po raz trzeci poruszyła myśl zbrojnej interwencyi. Powodem do tej akcyi jest działalność trzeciej japońskiej armii, która przed miesiącem posadzona była w Hiroszymie na pięćdziesiąt transportowych okrętów i odpłynęła na pełne morze w nieznanym nikomu kierunku. Przez dni dwadzieścia nie było o niej żadnych wiadomości. Jedni przypuszczali, że już gdzieś wylądowała i wzmocniła siły japońskie na teatrze wojny; inni sądzili, że krąży nad chińskimi brzegami, czekając wezwania sztabu głównego. Tymczasem dopiero w przeszły piątek pokazał się ten korpus dość daleko od teatru wojny, na północnym cyplu półwyspu Szantung; tu natychmiast wylądowało 2000 żołnierzy pieszych i konnych, oraz kilka bateryi; następnie transportowe statki odpłynęły pośpiesznie i na drugi dzień z rana przybiły do brzegu w innym punkcie tego samego półwyspu, mianowicie w zatoce Jung-czeng; tu wylądowała reszta korpusu. Kiedy to się stało, natenczas ów pierwszy oddział, złożony z dwóch tysięcy żołnierzy, pomaszerował na otwarty, bezbronny port Czi-Fu, znajdujący się o 70 kilometrów od miejsca wylądowania tego oddziału; jednocześnie ci, co wysiedli na brzeg w zatoce Jung-czeng, zaraz ruszyli przeciw oddalonemu o 40 kilometrów miastu nadmorskiemu i zarazem twierdzy Teng-czu-fu, a kiedy się do niego zbliżyli, w tej samej chwili pojawiła się na morzu wojenna eskadra japońska. Świadczy to o nadzwyczajnej dokładności działań japońskich, Oddział pierwszy — ów dwutysięczny — zajął miasto i port Czi-Fu, a oddział drugi, czyli ten, który wylądował w zatoce Jung-Czeng, razem z wojenną eskadrą, uderzył na miasto i port Teng-czu-fu. Tu bombardowanie trwało przez całą sobotę i ku wieczorowi baterye chińskie zamilkły, chociaż ogień ich był celny, bo kierowany podobno przez oficerów europejskich, których sprowadził pruski major w służbie chińskiej Hannecken, a baterye składały się z samych armstrongów i kruppów. Zapewne dotąd miasto już się poddało. Musimy teraz wyjaśnić znaczenie tej skombinowanej akcyi Japończyków.

Półwysep Szantung podobny jest do palca. W połowie jego długości, po jednej stronie, leży miasto Czu-Fu, a po stronie przeciwnej miasto i twierdza Teng-czu-fu, na samym zaś szpicu palca znajduje się największy chiński port wojenny Wei-hai-wei, ogromna twierdza, warsztaty okrętowe, magazyny morskie, słowem główny skład marynarki chińskiej. Tu oprócz kanonierek, torpedówek i innych statków, stoją na kotwicy okręta, które się popsuły w bitwie pod Port-Arturem i są w naprawie. Otóż nic tak doskonale nie świadczy o nieudolności chińskiej, jak to, że eskadra japońska, złożona z 50-ciu okrętów transportowych i kilkunastu wojennych, przybiła do brzegu w piątek nieopodal Czu-Fu, następnie cały półwysep okrążyła i w sobotę z rana wysadziła na ląd resztę korpusu w zatoce Jung-Czeng, a w porcie wojennym Wei-hai-wei nic o tem nie wiedziano. Cel tej operacyi japońskiej jest jasny: postanowiono odciąć port Wei-hai-wei od lądu, nie dopuścić dowozu żywności, ani posiłków, uderzyć na ten punkt od strony lądu i od strony morza, zdobyć i tak zadać śmiertelny cios morskim siłom Chin, bo oczywiście razem z portem wpadłaby w ręce japońskie cała nieprzyjacielska flota, śpiąca spokojnie w Wei-hai-wei. Gdyby to się udało, Japonia byłaby jedyną morską potęgą w tej stronie świata przez długi szereg lat, a olbrzymie chińskie cielsko straciłoby wszelką siłę.

To oczywiście oddziałałoby na angielski handel, ale nietylko na handel, bo i polityczne znaczenie Anglii w tych stronach znacznieby ucierpiało. Więc w Londynie znowu się zatrwożono. Odbyła się narada gabinetowa, po której zaraz wysłano rozkaz do admirała angielskiej eskadry Freemantle'a, aby natychmiast z okrętami swoimi zbliżył się do miejsca tak ważnych wypadków i był przygotowany do czynnego wystąpienia, równocześnie zaś angielskiemu posłowi w Japonii polecono zaprotestować przeciw zajęciu miasta i portu Czu-Fu, które wraz z kilku innemi należy do chińskich portów, otwartych dla europejskiego handlu, a Japonia, rozpoczynając wojnę, uroczyście przyrzekła nie czynić nic takiego, coby mogło zaszkodzić temu handlowi. Gdyby Japonia nie uwzględniła protestu, poseł angielski wręczy rządowi mikada notę i jednocześnie zawiadomi admirała Freemantle'a, że nadszedł dlań czas działania, które nie byłoby prowadzone wprost w interesie Chin, lecz niby w interesie angielskiego handlu, w gruncie jednak rzeczy wypadłoby na korzyść chińską. Takie jednak wmięszanie się przedstawia wielkie niebezpieczeństwo, bo zacząć akcyę łatwo, lecz skończyć ją w porę i z zyskiem trudno, gdyż to już zależy od mnóstwa nieprzewidzianych wypadków. Japończycy biją się doskonale, flotę posiadają świetną, zgoła są przeciwnikiem tak silnym, że przed wyzwaniem go na rękę trzeba dobrze się zastanowić. Gdyby zamiast grzecznego ustępstwa Japończycy odpowiedzieli Anglii ostro, co stać się może, bo ogromne zwycięstwa podniosły ich dumę, a gdyby jeszcze admirał Freemantle napotkał hardy opór, to sam mocarstwowy honor zmusiłby Anglię iść dalej, niż dziś zamierza, może do otwartej wojny, do której nie jest przygotowana i której w gruncie rzeczy prowadzić nie może. Więc rozpocząwszy tak niebezpieczną grę, Anglia oczywiście będzie bardzo ostrożna. Po gabinetowej naradzie, o której wspomnieliśmy wyżej, minister spraw zagranicznych lord Kimberley udał się do niemieckiego ambasadora hr. Hatzfelda i półtorej godziny przekonywał go o korzyściach wspólnej anglo-niemieckiej akcyi na chińskich wodach. Interesa niemieckiego handlu każą Berlinowi sprzyjać raczej Japonii, aniżeli Chinom; dlatego-to cesarz Wilhelm II podczas noworocznego przyjęcia tak gorąco wychwalał japońską dzielność i dlatego-to mikado zaraz potem przysłał mu najwyższy swój order Chryzantemu. Więc porozumienie Anglii z Niemcami będzie dość trudne, chociaż oczywiście nie ma przeszkód, któryćhby kosztem różnych wynagrodzeń nie można było usunąć. Jedna tylko ważna objekcya może się Niemcom nasunąć, ta mianowicie, że gabinet lorda Rosebery'ego słabo się trzyma.

Takim jest ów krytyczny moment, w którym teraz znajduje się wojna chińsko-japońska. Zaciętość Japonii, zwlekającej rokowania pokojowe i czyniącej tymczasem coraz większe wojenne postępy, tem się tłómaczy, że — jak się teraz dowiedziano w Europie, a w Japonii zapewne już dawno — Chiny jeszcze dwanaście lat temu powzięły zamiar zawojowania Japonii. Wówczas mandaryn Chang-Pei-Long przedstawił bogdychanowi memoryał, w którym udowadniał konieczność pokonania i wcielenia Japonii do państwa środka ziemi. Projekt ten był gruntownie przestudyowany przez radę wojenną i uznany za dobry. Wreszcie oddano go do zbadania wice-królowi Li-Hung-Czangowi, który uchodzi za najtęższą głowę między mandarynami. Wice-król uznał, że pomysł jest znakomity, ale do wykonania jego nie można przystąpić bez rozległych przygotowań wojennych, do których trzeba natychmiast się zabrać i prowadzić je bez pośpiechu, aby nie obudzić w Japonii podejrzenia. Rzeczywiście też Chiny zaczęły zwiększać swą zbrojność, ale Japonia przygotowała się prędzej i uprzedziła cios, który jej groził.

Zwrócono w świecie politycznym uwagę na to, że ponieważ nowy prezydent republiki francuskiej Faure jest protestantem, przeto z samej natury rzeczy muszą powstać między Francyą a Stolicy Apostolską niektóre kwestye kościelno-polityczne, a ich załatwienie może być trudne z powodu zasadniczej niechęci do Kościoła tych żywiołów, które rej wodzą w republice. Stosunek Stolicy Apostolskiej do Francyi opiera się na konkordacie zawartym w roku 1801 przez Papieża Piusa VII z Napoleonem, jako pierwszym wówczas konsulem. Przy układaniu tego konkordatu wychodzono z założenia, że naczelnik katolickiej Francyi będzie zawsze katolikiem i dlatego papież przelał na niego niektóre z praw swoich, jak przedtem je przelewał na królów francuskich i jak teraz przelewa na monarchów katolickich. I tak, paragrafy 4 i 5 konkordatu przyznają konsulowi (prezydentowi) republiki prawo obsadzania biskupstw. Ci dostojnicy otrzymali przywilej monarchów katolickich przedstawiania kandydatów do godności kardynalskiej, a po zamianowaniu tych kandydatów mogli sami wkładać na nich beret, co się odbywa podczas ceremonii kościelnej i wedle przepisów liturgii. Wreszcie tylko przy katolickich monarchach lub zwierzchnikach państw mogą rezydować stale nuncyusze, jako ambasadorowie zastępujący osobę Papieża. Przy władzcach niekatolickich mogą być tylko czasowi delegaci, lub internuncyusze, czyli posłowie, którzy nie przedstawiają samego Papieża, lecz są tylko pośrednikami między Apost. Stolicą a rządem niekatolickiego władzcy. Od tych zwyczajów, wynikających z godności Kościoła, nigdy nie odstępuje Apostolska Stolica, a w owym konkordacie napoleońskim, w paragr. 17, przewidziano, że jeśliby zwierzchnik Francyi był kiedykolwiek niekatolikiem, to wszystkie prawa i przywileje monarchów katolickich traci, a co do obsadzania stolic biskupich zawarta będzie osobna konwencya.

Otóż z wyborem Faure'a chwila taka nadeszła. Zamiast nuncyusza zjawi się w Paryżu co najwięcej internuncyusz. Ustanie prawo rządu przedstawiania kandydatów do purpury kardynalskiej, Faure nie będzie mógł wkładać na nich beretu, lecz zarówno nominacya, jak i ceremonia włożenia kapelusza będzie wykonywana przez samego Papieża. Wreszcie wypadnie zawrzeć konwencyę, regulującą sposób obsadzania biskupich stolic.

Mogą stąd wyniknąć różne trudności, z których w Paryżu zdają sobie sprawę. Więc też nagle zaczęto tam mówić, że jako żywo — Faure jest katolikiem! Różni deputowani widzieli go, jako co niedzielę chodził z córeczką do kościoła na sumę. Kto ich tam wie we Francyi, do jakiego kto należy wyznania. Wszakże o Carnocie mówiono, że wcale nie był chrzczony, i wiedziano, iż żadnych praktyk religijnych nie wykonywał, ale gdy było potrzeba, przyznawał się do katolicyzmu i dlatego za jego prezydentury Stolica Apostolska nie wystąpiła z potrzebą zmian w konkordacie. To samo może być i teraz. Niedarmo o protestancie Faure'ze zaczęto mówić, że jest katolikiem.

Wiedeńscy antysemici, a osobliwie t. zw. stronnictwo chrześcijańsko-socyalne, na czele którego stoją ks. Alojzy Liechtenstein, dr. Lueger i inni, mające dotychczas licznych zwolenników tylko w Austryi Dolnej, — a zwłaszcza w Wiedniu, oddawna stara się rozszerzyć pole swej działalności na ościenne prowincye, a osobliwie na Austryę Górną, gdzie ludność jest szczerze katolicka i gdzie panującem niemal nieograniczenie stronnictwem politycznem są konserwatyści, zwani przez liberalną prasę „klerykałami“. Już w roku ubiegłym chcieli antysemici wiedeńscy założyć w Lincu t. zw. „związek chrześcijańsko-socyalny“, i wówczas wystąpił stanowczo przeciw temu wychodzący w Lincu organ konserwatywny *Linzer Volksblatt*, dowodząc, że założenie tego związku byłoby osłabieniem wiekiego konserwatywnego stronnictwa.

W tym roku wykonali antysemici swój zamiar i urządzili w ubiegłą niedzielę w Lincu zgromadzenie, na którem miał mowę ks. Liechtenstein i inni przywódcy antysemitów wiedeńskich. Celem tego zgromadzenia było założenie w Lincu, a następnie w innych miastach Austryi Górnej stowarzyszeń o programie chrześcijańsko-socyalnym.

W telegramie wystosowanym w przeddzień tego zgromadzenia do ks. kardynała Rampolli zawiadamia ks. Liechtenstein, że stronnictwo chrześcijańsko-socyalne wzięło sobie za główne zadanie urzeczywistnić wzniosłe zasady, zawarte w encyklice papieskiej „Rerum novarum“. W odpowiedzi na ten telegram otrzymał ks. Liechtenstein za pośrednictwem kardynała Rampolli błogosławieństwo papieskie.

Ks. Liechtenstein w Lincu.

Piszą nam z Wiednia 22 stycznia.

Przedwczorajszy występ gościnny Alojzego ks. Liechtensteina i towarzyszy w Lincu nie udał się. Jak zaznacza organ tej frakcyi *Reichspost*, zebranie to po stronie katolicko-konserwatywnej napotkało po części na bierną opozycyę, po części wprost na opór, a nadto zjawienie się 700 socyalnych demokratów zmusiło aranżerów do zamknięcia zebrania przed rozpoczęciem zapowiedzianej dyskusyi. Natomiast organ katolicko-konserwatywny *Vaterland* z zadowolnieniem podnosi, że tak zwani „chrześcijańsko-socyalni“ menerzy wiedeńscy nie zdołali rozsadzić solidarności obozu katolickiego w Austryi Górnej, który od 25 lat posiada wyborną organizacyę i w zgodzie z władzą kościelną dzielnie broni praw katolickich.

Wprawdzie Alojzy ks. Liechtenstein niewątpliwie bardzo zręcznie uderzył w struny sympatyczne szczerym katolikom i starał się usunąć na bok kwestye drażniące. I tak przed wyprawą do Lincu wysłał do Ojca św. depeszę, w której dobitnie wygłosił swą „wierność niewzruszoną dla przepisów Kościoła i poświęcenie dla Stolicy apostolskiej“, zapewniał, że co do chrześcijańskiej reformy socyalnej pragnie urzeczywistnić „podziwienia godne zasady encykliki *Rerum novarum*“ i prosił o błogosławieństwo. Oczywiście Ojciec św. przyjął te oświadczenia łaskawie i za pośrednictwem kardynała Rampolli przesłał księciu apostolskie błogosławieństwo. Odnosi się ono wyraźnie do wymienionych oświadczeń księcia Liechtensteina, a żadną miarą w depeszy kardynała Rampolli nie można się dopatrzeć sankcyi ani dla programu, a tem mniej dla metody, którą się posługuje tutejsza frakcya chrześcijańsko-socyalna. Jeżeli więc jej organa usiłują z tej okazyi przedstawić rzecz tak, jak gdyby błogosławieństwo Ojca św. było poniekąd protestem przeciwko zachowaniu się biskupów względem ruchu „chrześcijańsko-socyalnego“, jestto tylko dalszym dowodem podstępnie rozkładowej taktyki tego obozu.

Łatwo też przewidzieć, że niebawem z najkompetentniejszej strony pojawi się deklaracya, która raz na zawsze położy koniec tym podstępnym usiłowaniom powoływania się na Ojca św., ażeby tem łatwiej usunąć się z pod uwagi miejscowych biskupów. Wprawdzie Leon XIII w tylu listach i encyklikach tak stanowczo potępił tę taktykę, tak dobitnie podniósł, że jest obowiązkiem wszystkich katolików, mianowicie stowarzyszeń i prasy katolickiej „we wszystkiem, co dotyczy akcyi Kościoła na społeczeństwo, poddać się całem sercem swym biskupom i Papieżowi“ (list do arcybiskupa paryskiego z 10 czerwca 1885), że właściwie zbyteczna rozwodzić się nad przewrotnością owej taktyki. Skoro jej jednak użyli tutejsi menerzy chrześcijańsko-socyalni, aby wbrew życzeniom biskupa linckiego ks. Doppelbauera szerzyć swe teorye w Lincu, nadużycie depeszy kardynała, którego się dopuszczają dzienniki chrześcijańsko-socyalne, niezawodnie wywoła autentyczną korekturę.

Tymczasem wobec szerszych kół, które nie rozbierają tak gruntownie delikatnych kwestyi, wystaranie się o błogosławieństwo Ojca św. w każdym razie było zręczną taktyką, która mogła ks. Lichtensteinowi ułatwić sprawę w Lincu. Równie zręcznie w mowie, wygłoszonej na zjeździe linieckim, wystrzegał się wszelkich napaści na stary obóz katolicki. Nie powtarzał tych wrogich deklamacyi, które niedawno hr. Hohenwarta zmusiły do odpowiedzi, że właściwe miejsce ks. Lichtensteina jest na skrajnej lewicy. Owszem, zapewniał, że pragnie dobrego sąsiedztwa stronnictw chrześcijańskich, które powinny walczyć obok siebie, nigdy — przeciwko sobie!

Tymczasem mowy dwóch kolegów: Pattaja i Gessmanna nie były niczem innem, jak namiętnym aktem oskarżenia przeciwko konserwatywnym katolikom, że „sprzeniewierzając się swym zasadom“, przystali na koalicyę, a mowa Axmanna, aby schlebiać socyalistom, wprost wysławiała wszelkie rewolucye! Zręczność dyplomatyczna ks. Lichtensteina nie dopisała więc. Albo raczej powiedzmy: podejrzane towarzystwo, w którem niespodziewanie ocknął się ruchliwy książę w r. 1891, nie myśli wcale szanować owych granic, które jemu szanować każe szczere przekonanie i wychowanie katolickie.

Na prawdę frakcya chrześcijańsko-socyalna stała się w zgromadzeniach parlamentarnych przednią strażą socyalizmu. Jedyna różnica zasadza się na tem, że socyalna demokracya przyznaje się otwarcie do bezwyznaniowości, gdy frakcya chrześcijańsko-socyalna staje niby to pod sztandarem chrześcijańskim, ale systematycznie podkopuje normalną władzę kościelną. Pominąwszy tę różnicę, akcya tych dwóch stronnictw jest równoległa. W Radzie państwa frakcya chrześcijańsko-socyalna występuje jako zacięty wróg koniecznej władzy i powagi rządowej. W tej mierze wywiązuje się ona skwapliwie z zadania, które w innych parlamentach spełniają socyaliści. W dolno-rakuskim sejmie krajowym równie systematycznie podkopuje władzę publiczną, reprezentowaną przez marszałka krajowego i namiestnika. Prócz tego, bijąc ciągle w żydów, obelgami obrzuca kuryę wielkich właścicieli. W tej nienawiści i gburowatości — Gregoriga, Luegera i t. d. nie mógłby przewyższyć żaden czerwony socyalista. W kwestyach podatkowych, ekonomicznych itd., czy to w Radzie państwa, czy w sejmie krajowym, czy na zebraniach publicznych (jak świeżo w Lincu) stronnictwo chrześcijańsko-socyalne wychodzi wprost z założenia socyali-

---

9)

W PŁYTKIM PRĄDZIE

POWIEŚĆ

przez *Nagodę.*

(Ciąg dalszy).

— Pokuta... nieprzezwalczone okoliczności.... dajmy pokój tym wielkim słowom; jesteśmy przecie na wencie, a nie na scenie.

— Niech pani nie szydzi, bo...

— Bo cóż? — odparła wyzywająco, choć trochę blednąc.

— Bo o b o j ę t n o ś ć nie chwyta się nigdy tej broni.

W miejsce bladości płomienie oblały twarz Toli.

— Pan się myli! — odrzuciła gwałtownie, prawie podnosząc głos — obojętność chwyta za każdą broń, nie oglądając się na to, czy będzie dobrze czy też fałszywie zrozumianą; cóż ją obchodzić mogą jakieś przypuszczenia, jeśli wie sama najlepiej, że prawdy w nich nie ma nic.

— Nie?... — spojrzeli sobie w oczy śmiało i długo. — Przekonam panią, że jest inaczej — zakończył odstępując Zdzisław.

Szare, niespokojne oczy Maryi przez cały czas śledziły rozmawiających, choć gwar otoczenia tłumił ich głosy i nie dawał pochwycić wątku słów.

— Czy płaciłeś już co? — zwróciła się teraz do męża z zapytaniem.

— Płaciłem.

— Więc chodźmy dalej; Iza Mniewska sprzedaje podobno konfitury własnego wyrobu.

— Chodźmy, jeśli chcesz.

— Dobranoc, chérie... — zwróciła się pani Marya do Toli. — W pośród tych ofiar, wyglądasz sama na ofiarę... głowa cię musi boleć od widoku tych pomordowanych niewiniątek — spojrzenie pani Maryi zakreślając szerokie koło, oparło się aż na nieruchomej postaci p. Emila.

— Nie troszcz się o mnie, nic mi nie będzie — uspokoiła ją piękna panna z tym wyrazem wyższości i dumy, jakim kobiety umieją upokarzać i przygniatać, gorzej od siebie uposażone a nienawistne towarzyszki.

Państwo Zdzisławowie opuścili salę; Tola patrzyła za oddalającymi się trochę pobladła, i tak poważna, jakby ważyła w duszy zagadnienie całego życia.

Jak ona mogła kiedyś tak szalenie kochać tego człowieka — kochać, być przez niego pominiętą — i jeszcze kochać i walczyć.... skąd się wzięło i gdzie poszło teraz to uczucie, które niegdyś na sam jego widok przejmowało drżeniem całą jej istotę.

— Tolu, śpisz? — zagadnęła ją nagle pani Wilma, czy to nasze powodzenie tak cię odurzyło? patrz, szkatułka już prawie pełna. *Aneta en tombera malade.*

VI.

Na świecie było zimno, śnieżno, ale wesoło.

Wigilia Bożego Narodzenia ogrzewała bogatych i biednych swoim ciepłym urokiem; rozpromieniała twarze dzieci krążących po mieście, zatrzymujących się przed wystawami sklepów, tak ślicznie dziś ubranemi głównie na ich rachunek; drgała echem nawet w głosie studentów śnizgających się po zamarzniętym rynsztoku, rozradowanych nadzieją dziesięciodniowych wakacyi.

Tola również dążyła do miasta wśród tłumu przechodniów; i ona była gospodynią domu i musiała myśleć o zaspokojeniu wszystkich jego potrzeb. A dzisiaj zajęła się tem ze szczególną troskliwością i chęcią zadosyćuczynienia wszystkim tradycyjnym wymaganiom: pragnęła, aby dzisiejszy wieczór nie zastał żadnych braków na tym stole, przy którym mieli zasiąść w tak szczupłem kółku; wszyscy w głębi serca trochę smutni i rozrzewnieni echem wspomnień, płynącem od dawno minionych, weselszych wigilii; od rodzinnego Czarnolina, gdzie był grób matki, gdzie szumiał las sosnowy, dostarczający choinek innym już szczęśliwszym dzieciom.

Pan Czarnoliński, owdowiawszy młodym jeszcze człowiekiem, pozostał wierny pamięci żony i nie powołał żadnej już kobiety na zajęcie opróżnionego miejsca matki rodziny, ale w tej jednej ofierze, którą oszczędził delikatności uczuć swoich podrastających już dzieci, zamknął cały zasób poświęcenia na jaki mógł się tylko zdobyć; nie pomyślał, że wziął tym sposobem na siebie zdwojone obowiązki, że domowe ognisko wymagało od niego tem więcej serdecznego ciepła, kiedy sam jeden podjął się je podniecać i podtrzymać.

Przeciwnie, uczuwszy, że węzły rodzinne rozluźniły się po śmierci żony, pierwszy począł otrząsać się z tego, co w nich mogło być niedogodnem i krępującem; sam ostygł i pozwolił wszystkiemu stygnąć naokoło siebie, ciężyć coraz bardziej na zewnątrz; odchylał się myślami i dążeniami od wspólnego rodzinnego pnia. Jemu samemu dobrze było w tej atmosferze spokojnego bytu, jaką szczęśliwie potrafił sobie utworzyć po bolesnej na razie stracie majątku; praca nie nużąca a dająca mu utrzymanie i stanowisko, teatr, wist u przyjaciół; codzienna wędrówka po najożywieńszych ulicach miasta — oto był codzienny program jego życia, nie pozostawiający jemu samemu nic do życzenia. Dzieci kochał dość; z Edziem sympatyzował jako z dobrym i wesołym chłopcem, bawił się jego powodzeniem w świecie i po za światem, żałował tylko, że z nim razem życia używać nie może. Tolę całował po rękach i nazywał ją najpiękniejszą kobietą na świecie, z dumą wprowadzał ją na bale i marzył dla niej o nadzwyczajnej partyi; nie zdawał się wcale spostrzegać, że rok za rokiem upływał nie niosąc ziszczenia tych marzeń; w ogóle nie lubił liczyć się z czasem, bo mu to przypominało zbliżającą się starość.

W takiej to atmosferze dorośli i dojrzeli moralnie Edzio i Tola. Edzio jako mężczyzna rozwijający się później, gdy u progu młodzieńczego życia został zaskoczony taką pustką serdeczną i duchową, stępiał na punkcie uczucia, nie dokształcił w sobie wielu szlachetnych popędów, których zaród miał w duszy. Tola myśląca już wtenczas i czująca wiele, zamknęła się w sobie; cofnęła w głąb serca kobiecą tkliwość, która u najbliższych nawet nie budziła współczującego echa; salony stolicy i pierwszy zawód, jaki w ich progach spotkała, dokończyły wychowania, nieśmiałość jej uczuć zamieniły w dochodzącą do ostatnich granic dumę i drażliwość, na którą rzuciły szablonowy pokost światowego wyrobienia.

Coraz to gęstsze płatki zasypywały ziemię, Tola wyprzedzając Marcinka, niosącego za nią duży kosz pełen świątecznych sprawunków, szła prędko, ledwie mogąc wśród ostrego wiatru utrzymać otwarty parasol, nagle mignęła jej przed oczami ręka ubrana w futrzany rękaw i łosiową rękawiczkę, oddająca pospieszny ukłon elegancką bobrową czapeczką. Trwało to sekundę, ale w tej sekundzie dostrzegła Tola poprzez ukośną siatkę opadających płatków śniegowych, twarz Edmunda Dziewońskiego.

Dążyli oboje tak spiesznie w dwie przeciwne strony, że w jednej chwili tłum przechodniów rozdzielił ich; nie zamienili z sobą ani jednego słowa, ani nawet spojrzenia; a przecież od tego przelotnego spotkania, powiało na Tolę jakieś uczucie radości i ciepła, jak gdyby nagle spełniło się może bezwiedne, ale bardzo gorące jej pragnienie. Był tu, przyjechał, dotrzymał obietnicy, którą wyraził jej prawie samem tylko spojrzeniem, przy świście lokomotywy, na gwarnym francensbadzkim peronie.

Unosząc w myśli jego obraz szła dalej w swoją drogę z sercem bijącem silniej i radośniej błyszczącemi oczyma. Przykre wspomnienie ostatniej wenty, trapiące ją po całych dniach i nocach, zasunęło się gdzieś w dal; widziała teraz przed sobą błyszczące koryto rzeki, po której cichych falach płynęli godzinę całą prawie oko w oko, zespoleni tą ciszą i pięknością otaczającej ich natury i wspólnem wzruszeniem serc, którego nieujętych, niepewnych jeszcze drgnień, śledzili sobie wzajem w wyrazie twarzy. Myślała, że tylko w bajce wspomnienia takie miewają ciąg dalszy, a teraz przyjechał.

Dawno już mieszkanie państwa Czarnolińskich nie zdawało się takiem jasno oświetlonem, ciepłem, wesołem — kobiece serce, które jedynie zdolne jest ożywić i ogrzać domowe ściany, roztajało dziś wewnętrzną radością i blaskiem swoim rozpromieniło całe otoczenie.

VII.

— Wiesz co, Edziu, na twojem miejscu postarałbym się do dwóch miesięcy stanąć przed ołtarzem.

Zagadnięty tak chłopiec, zaczerwienił się tym świeżym, prawdziwie młodzieńczym rumieńcem, który miał zawsze na zawołanie, a który „złotemu Edziowi“ nie mało dodawał uroku.

— Z kimże to, proszę ojca?

— Z kim? jeśliś mądry, to się domyśl.

— Kiedy nie mogę się domyśleć.

— Naturalnie z Gertrudą Jencką.

— Z Tudzią? — w głowie Edzia nie wielki brzmiał zachwyt — a dlaczegoż z nią właśnie?

— Tudzia bardzo dobre dziewczę — wmięszała się Tola — tylko...

— Tylko co? za mało wam wygląda na światową elegantkę, nie trzepie się, nie gada niedorzeczności...

— Można śmiało powiedzieć, że nic nie gada, — dorzucił złośliwie Edzio.

— No, znowu nie tak bardzo nic; tobie odpowiada zawsze z wielkiem ożywieniem, uważałem, że się jej podobałeś.

Edzio wąsa pokręcił.

— Ha, smutno by było, żebym się jeszcze takiej wiejskiej gąseczce nie mógł podobać.

— Śliczna mi gąseczka, z ośmdziesięciu tysiącami majątku; przytem wcale przystojna, dobra — a wiem pewno, żeby ci ją dali. Matka chora, chciałaby los córki jak najprędzej ustalić, a młody Jencki nie wydaje mi się wcale chciwy.

Cdn.

stycznego, dążąc nie do reformy, lecz do przewrotu.

Wobec takich faktów obóz katolicki w Austryi Górnej zasługuje na wszelkie pochwały, że na samym wstępie oparł się stanowczo propagandzie chrześcijańsko-socyalnej, jak to dawniej uczynili Tyrolczycy i Styryjczycy.

Korespondencye.

Wiedeń 21 stycznia.

Na całej linii zawrzała walka konkurencyjna różnych przedsiębiorstw przemysłowych. Hyperprodukcya żelaza, cukru, nafty, przędziwa, ciężko odczuwać się daje fabrykantom zarówno, jak i pośrednikom, większe mającym zapasy. Siła konsumcyi wewnętrznej nie wzrasta w tej mierze, jak produkcya — a to z prostego powodu, że rolnictwo dźwignąć się nie może z pod ciężkich ciosów zasypania targów zagranicznem ziarnem i cen niebywałych, pokrywających ledwie koszta pracy. Rosya może sobie pozwalać na zbytek konkurencyi najforsowniejszej na rynkach handlowych środkowej i zachodniej Europy, na których sprzedaje się zboże. Minister Witte w swoich uwagach o budżecie państwa, niedawno ogłoszonych, z całą otwartością człowieka nie bojącego się zachwiania swej polityki wyznał, że dla Rosyi ceny zboża mają podrzędne znaczenie, a możliwość zbywania produktu jest wszystkiem, że dlatego traktaty handlowe, które produktowi szerokich płaszczyzn między Wołgą a Dnieprem otworzyły nowe drogi do Niemiec i Austro-Węgier, są zadatkiem pomyślnego rozwoju ekonomicznego całego państwa. Chłop rosyjski w latach, kiedy zboże dobrze się zrodziło, odżywia się lepiej, potrzeb cywilizacyjnych żadnych nie ma, na podatek i inne wydatki konieczne zarabia zbytem wyrobów przemysłu domowego, a całą nadwyżkę swej produkcyi zboża nad konsumcyą wysyłać może na jakichbądź warunkach na zachód. Posiadacz większych obszarów, który i w Rosyi znajduje się w położeniu dość trudnem, cieszy się specyalną opieką rządu, która coraz większe gotuje mu ułatwienia w otrzymywaniu kredytu, w sprzedawaniu towaru, w składaniu go w portach, w granicznych stacyach i t. d.

W Austro-Węgrzech za mało niestety myślą o dźwiganiu i ratowaniu rolników w chwili, kiedy jeszcze ratunek byłby możliwym i kiedy skutki jego okazaćby się musiały także i dla przedsiębiorstw przemysłowych, którym zamożniejszy rolnik konsument byłby przecież najwygodniejszym odbiorcą. Za mało kładzie się w ogóle wagi na konsumcyę wewnętrzną fabrykatów. Przywykliśmy dzięki wykazom regularnie ogłaszanym statystycznego departamentu handlu zawsze tylko zastanawiać się nad wywozem i dowozem. Nie pamiętamy, że wywóz fabrykatów austro-węgierskich głównie skierowany jest na wschód, że wszystkie zdobycze, jakich się industrya spodziewać może w monarchii Habsburskiej, leżą w krajach Bałkańskich, w Egipcie, w Azyi. Nasze zboże idzie na zachód do krajów o najwyższej kulturze, o najpewniejszych warunkach zbytu, o regularnej walucie, o wysoko rozwiniętem sądownictwie; nasze żelazo, przędziwa i inne fabrykaty idą do Rumunii, Bułgaryi, Serbii, Grecyi, Egiptu, Azyi mniejszej, Rosyi i t. d.

Kupcy tych krajów nie płacą gotówką, a często nie wypłacają też weksli, ich pieniądze mają kurs chwiejny, władze miejscowe bronią ich przed „wyzyskiem zachodu", przewlekając w nieskończoność każdy spór. Jeśli więc monarchia wywozi więcej na zachód (t. j. zboża i produktów rolniczych a mniej na wschód, (t. j. fabrykatów) to takie ułożenie się stosunków handlowych jest z prawdziwym dla ogółu pożytkiem. Nie idzie zatem, aby zaniedbywać miano eksport do krajów mniej rozwiniętych. Owszem, każdej pozycyi bronić i nowe zdobywać należy. Ale dla każdego fabrykanta sprzedaż produktu w kraju jest z pewnością milszą i pewniejszą, niż — dajmy na to w Grecyi. Wspomniałem Grecyę, bo właśnie rząd pozwolił tam kupcom wypłacać weksle na złoto opiewające w papierze. Jakie to ma znaczenie, wywnioskować można ztąd, że ażio złota wynosi tam 45—48%, czyli, że za 100 drachm papierowych dostaje się tylko 52—55 drachm złotem. (Drachma = 36 centów w złocie). Austro-węgierski przemysł wcale nie może obojętnie się zachować w obec tej redukcyi wartości środków płatniczych. Na import Grecyi, sięgający 140 milionów drachm, składają się Austro-Węgry więcej niż 13%, a więc wywozem wartości około 20 milionów drachm.

Konsekwentnie przeprowadzana ostatnia manipulacya zbawców greckich finansów mogłaby kosztować austryackich i węgierskich kupców co najmniej 4 miliony drachm. Weksle opiewają bowiem na 6 miesięcy (a i na 9 miesięcy) w handlu ze wschodem. Przypuścić więc można, że półroczne zobowiązania Grecyi sięgające do 10 milionów drachm, w każdej chwili po wydaniu podobnych rozporządzeń rządowych są w zawieszeniu. Galicya też ma pewne związki — choć pośrednie zapewnie — z Grecyą, wysyła tam szkło poślednie, papier (?), a zwłaszcza drzewo (klepki, tarcice i materyały budowlane).

List otwarty do Bismarka.

P. t. *„Réponse d'un gentilhomme polonais aux derniers discours du prince de Bismarck de septembre 1894"* wyszła w Wiedniu broszura, którą podajemy poniżej w przekładzie polskim.

I.

Do J. O. ks. Bismarka

Odpowiedź szlachcica polskiego na ostatnie mowy do deputacyi niemieckich we wrześniu 1894 roku wypowiedziane.

Mości Książę!

Dopiero teraz po wyjeździe moim za granicę dojść mnie mogły w całej osnowie ostatnie wystąpienia księcia przeciwko Polakom w mowach, wypowiedzianych do deputacyi niemieckich, przybyłych z W. Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich, żeby ci hołd złożyć. Mowy te zbyt wiele zaszczytu nam przynoszą, aby przez cenzurę warszawską do dzienników warszawskich w całej pełni dopuszczone były. Świeże to wystąpienie twoje, książę, jest tylko jednem dalszem ogniwem więcej w szeregu różnych jego czynów, przeciw nam zwróconych w epoce, gdy byłeś u władzy i różnych popisów słowa w tymże duchu, odkąd zdanie swoje jedynie w podburzaniu na nas wyrażać już możesz. Jestto w historycznej działalności księcia punkt zasadniczy, stały, w którym wybitnej sprzeczności dotąd najmniej znaleść można. Do tych wrogich przeciwko nam wystąpień tak wielkiego męża stanu z przykrością przyzwyczaić już się musieliśmy. Te ostatnie jednak dla wszystkich tak chwilą, jak treścią szczególniej są dziwne.— Twierdzisz tam nadto, książę, że słowa jego przeciw nam w całych Niemczech sympatyczne odnalazły echo i naród polski w jego szlachcie w tak szczególny dotykasz tam sposób, że mnie to, po za odprawami, jakich już doznałeś, jako Polaka i szlachcica do niniejszej jeszcze oddzielnej zmusza odpowiedzi.

W chwili, gdy wystawa we Lwowie wymowny daje dowód rozważnej pracy, postępu i rozwoju Polaków jednej prowincyi zaprzyjaźnionego z Niemcami państwa austryackiego; w chwili, gdy Polacy ci z ust monarchy swojego i najwyższych przedstawicieli rządu wiedeńskiego otrzymują wyrazy uznania i zachęty — Mości książę uznajesz za właściwe z chwili tej skorzystać dla najjaskrawszego potępienia tychże samych ludzi, których związek z państwem twojem, czyli dzieło twoje, jak najsilniej popierają i podtrzymują. Okazana światu żywotność nienawidzonego przez ciebie narodu obudza znów wielki twój gniew, książę, i na boleść swą ulgi zapragnąłeś w obsypywaniu nas szeregiem różnych, szumnych wprawdzie, ale zupełnie bezpodstawnych i wprost sprzecznych ze sobą nawet zarzutów. Z jednej strony wystawiłeś, książę, szlachtę polską jako przedstawicielkę najskrajniejszej reakcyi, w interesach swej kasty wyłącznie zamkniętą, z drugiej strony obok anarchizmu, jako partya przewrotu, ma to być główny nieprzyjaciel Niemiec, zagrażający pokojowi nawet Europy. Cokolwiekbądź, z tą szlachtą, zdaniem księcia, liczyć się nie można, bo choć teraz wobec Niemców jednomyślna, pozostawiona sobie samej zaraz się rozpadnie; zmiażdżyć ją koniecznie więc należy, choć nie drogą rabunku, to przez kolonizacyę, a tymczasem, nim zmiażdżoną będzie, życzysz książę własnym Niemcom swoim, by za wzór i przykład ona im służyła.

Taką była chwila i taką treść przemówień, które książę wyłącznie poświęcić nam raczył. Nowy chyba dowód widoczny, że gniew i nienawiść, jako dobre natchnienie i sternik dobry, nigdy nikomu służyć nie potrafią.

Nie jestem ja, mości książę, z zawodu żadnym politykiem i na ojczystym tylko pracując zagonie, nie mogę znać wszystkich tych tajników międzynarodowych, które w ręku swojem tak długo dzierżąc, w pamięci dobrze zachować musiałeś; prawda jednak ma to do siebie, że dla najprostszych umysłów jest dostępną i zawsze na wierzch wydobyć się potrafi. Żeś się książę do wielkości zewnętrznej Niemiec przyczynił znacznie, prawda to zupełna. Czy jednak z twojemi zasadami, okiem w dalszą sięgając przyszłość, jako mąż stanu nawet tę wielkość utrzymaćbyś umiał, — rzecz to dość jeszcze wątpliwa. Jako Polak, gdybym się nawzajem takiemi kierował uczuciami, niepowodzenie jego dzieła tylko cieszyćby mnie mogło; szlachcic polski tę jednak ma szlachetność w sobie, której w historyi liczne dał dowody, że się z nieszczęścia cudzego nie cieszy, i pragnąc dobra dla swego narodu, szczęście również dokoła u innych z radością by widział. Ta to myśl, mości książę, jest nicią przewodnią uwag tego pisma, które pozwalam sobie poddać twojej rozwadze.

Sto lat ubiegło od czasu zniknięcia Polski, jako samodzielnego państwa, ale naród polski przez ten czas nietylko nie zniknął, ale się jeszcze znacznie rozrósł i spoważniał. Naród ten, liczący dzisiaj kilkanaście milionów i pomimo wyjątkowo ciężkich warunków swojego postępu cywilizacyjnego bardzo wybitne zajmujący miejsce, jest rzeczywistością, o której książę sam ciągle pamięta. Naród ten, oddany spokojnej i wytrwałej pracy na całym obszarze, który zamieszkuje, pomimo wszelkich środków, wszelkich praw i prześladowań, bardzo dziwnie na tle dzisiejszego wieku odbijających i z których wiele samemu księciu zaszczytu nie przynosi, naród ten cały coraz więcej rozwija się i żyje. Mylisz się książę zupełnie — naród polski w szlachcie tylko widząc i mierząc ten naród dziś jeszcze tą miarą, do jakiej z historyi dawnego państwa polskiego przywykłeś. Książę pomijasz tutaj objawy, które sam niedawno z prowincyi polskiej pod panowaniem pruskiem przytaczałeś. Nie, książę, polską nie sama tylko jest szlachta, takiemi są miasta, takim samym lud, który właśnie w ostatnich czasach do coraz większej samowiedzy i poczucia narodowości swojej dochodzi. Polskiem jest nawskroś całe społeczeństwo polskie i to właśnie wielką, niepokonalną siłę naszego narodu stanowi, rzeczą zaś tylko naturalną, że szlachta, tak z mocy tradycyi, wykształcenia, wyrobienia, a może i z tytułu najwięcej w imię kraju poniesionych ofiar, przodujące zajmuje w nim miejsce. Ta tożsamość uczuć wszystkich warstw całego narodu, to księcia najlepiej objaśnia, dlaczego lud teraz ze szlachtą ręka w rękę idzie. Położenie ludu polskiego, pomimo organizacyi politycznej dawnego państwa, nigdy gorsze niż w Niemczech nie było i stosunek szlachty do ludu, względnie do ducha minionych już epok, porównania z innemi w tymże czasie państwami obawiać się nie potrzebuje. Ta nawet w tem porównaniu tutaj zachodzi różnica, że podczas gdy w sąsiednich państwach szlachetne usiłowania monarchów wprowadzenia reform przez opór warstw interesowanych hamowane były, w Polsce inicyatywa od samych tychże warstw zawsze wychodziła. Jeszcze w roku 1790, — za czasów niezawisłości Polski, na sławnym sejmie czteroletnim, — sama szlachta wolność ludowi przyznała, — a wszystkie mądre i zaszczyt nam przynoszące uchwały tegoż sejmu tylko interwencyą sąsiednich mocarstw wstrzymane zostały.

W roku 1857 pierwsza szlachta polska na Litwie zapoczątkowała u cesarza Aleksandra II usamowolnienie włościan i za przykład w Rosyi wskazywaną była. Takiż sam duch ożywiał szlachtę polską i w Austryi, co stwierdzają sami pisarze niemieccy (Violand „Geschichte der soc. Revolution, Leipzig 1850). Wszystkie też usiłowania nieprzyjaznych nam rządów osławienia polskiego narodu przez wywołanie w jego łonie rozdwojenia, przez poróżnienie ludu ze szlachtą, przy całem niebezpieczeństwie użytej ku temu socyalnej broni, nietylko takiego skutku nie odniosły, ale wprost przeciwnie jeszcze lepsze zjednoczenie tych stanów sprawiły. Lud polski dobrze wie, że się reakcyjnych dążności szlachty obawiać nie potrzebuje, bo dążności takie wcale nie istnieją. Jeżeli zaś pod reakcyą rozumiesz książę nasze przywiązanie do wiary i narodowości, to te wszyscy mamy jednako w wysokim bardzo stopniu. Czy tylko uczucia te — to istotnie wskazówka reakcyi i czy mężowi stanu obecnie z takich uczuć zarzut czynić wolno? Książę zdaje się tę niewłaściwość sam dobrze odczuwa, bo nas zaraz obok tego wprost krańcowo przeciwnym obarcza zarzutem, jako partyę przewrotu, równając z anarchizmem i o ukryte podejrzywając cele, z którymi podobno we Lwowie zdradzić się mieliśmy. I cóż to tam takiego zdradzono? Że Polacy we Lwowie i Polacy w Poznaniu, czy w Warszawie, to jeden i tenże sam naród. Ależ to o tem wszystkie podręczniki historyi i geografii świadczą i książę sam oddawna wie to doskonale. Przecież Niemcy z Berlina i Wiednia także się zjeżdżają. Zkąd zarzut przewrotu? Jakiż książę dowód na to przytacza, a jakiż dowód w oczach całego świata składa naród polski tam, gdzie głos swój wyjawić mu wolno? Stanowisko Polaków w Austryi, ich serdeczne, głębokie przywiązanie do panującego monarchy, ostatnie nawet głosowanie w parlamencie niemieckim, wyraźnie chyba wskazują, że Polacy nie elementem przewrotu, ale przeciwnie prawdziwą podporą siły państwowej i tronu być umieją. W obu tych państwach głos Polaków w najważniejszych sprawach na jaką to szalę zwycięstwo przeważał? Oskarżenie twoje, wprost z faktami sprzeczne, nie może obałamucić zdrowej opinii publicznej. Jakim jest Polak w Austryi, takim samym mógłby być w Prusach, takim samym z pewnością potrafi być w Rosyi. Szlachta polska, jak naród polski, wszędzie jedno tylko ujawnia, jednego tylko żąda, to jest prawa do życia i pola do pracy spokojnej. Tego przyrodzonego prawa nikt mu odmówić nie może i prawa tego stłumić żadna siła nigdy i nigdzie nie podoła.

Ulgi w poborze soli bydlęcej.

Wydany przed kilku dniami nr. 244 dziennika praw państwa zawiera nowe rozporządzenie ministeryum finansów z 28 z. m. co do poboru soli bydlęcej po zniżonej cenie.

Pierwszy rozdział tego rozporządzenia traktuje o instytucyi zupełnie nowej tak zwanych koncesyonowanych składów soli bydlęcej, drugi zaś rozdział zawiera bardzo znaczne ulgi dla tych gmin i obszarów dworskich, w których nie będzie składów soli bydlęcej.

Wedle § 19 tego nowego rozporządzenia naczelnicy gmin lub przełożeni obszarów dworskich pod pewnymi w paragrafie tym bliżej podanymi warunkami mają odtąd prawo po przybyciu zamówionej przez nich przesyłki soli bydlęcej zdjąć sami urzędowe opieczętowanie każdego worka i rozdzielić zawartą w nich sól między rolników uprawnionych do jej poboru, jeżeli w ciągu dwóch dni po zawiadomieniu władzy skarbowej o nadejściu tej przesyłki nie zjawi się żaden organ skarbowy dla odpieczętowania worków.

Jeszcze większą doniosłość ma zawarte w § 18 tego rozporządzenia uwolnienie od oznaczania terminu zamawiania taniej soli bydlęcej dla każdej gminy lub obszaru dworskiego. Dotychczas bowiem był proceder tego rodzaju, że sól bydlęcą można było zamawiać i pobierać tylko przez ośm miesięcy w roku, tj. od lutego do września włącznie i to tylko w tym miesiącu, który krajowe władze skarbowe z góry wyznaczyły dla każdej gminy i dla każdego obszaru dworskiego.

Skutkiem tego wiele gmin nie mogło zaopatrzyć się w sól bydlęcą wtedy, kiedy jej potrzebowało, lecz znacznie później, z drugiej zaś strony mnóstwo gmin, które potrzebowały soli dopiero za kilka miesięcy, musiało pobierać ją wcześniej, gdyż tak wypadła na nie kolej. Owoż na mocy powołanego na wstępie rozporządzenia ministeryalnego mogą odtąd wszystkie gminy i obszary dworskie przypadającą na nie sól bydlęcą zamawiać i pobierać, kiedy im się podoba, w czasie między 1 stycznia a 15 grudnia każdego roku. Przełożeni gmin i obszarów dworskich mają sól bydlęcą zamawiać za pośrednictwem oddziału solnego c. k. jeneralnej dyrekcyi kolei państwowych, zaś wyznaczone do tego przez ministeryum finansów magazyny solne wydawać ją będą w miarę zapasów w tym porządku, w jakim obstalunki będą nadchodziły.

Dotychczasowe postanowienie, że rolnicy należący do jednej gminy lub do jednego obszaru dworskiego, stosownie do liczby posiadanego bydła, mogą przypadającą na nich na cały rok ilość soli bydlęcej pobierać naraz i wszyscy społem, przez naczelnika gminy lub obszaru dworskiego, pozostaje nadal w mocy dla tych wszystkich gmin, które nie zostaną przydzielone do pewnego magazynu soli bydlęcej. Postanowienia tego nie można było znieść z tego powodu, że przeciętna ilość soli bydlęcej przypadająca na każdego rolnika, jest tak małą, iż sprowadzanie jej z osobna z bardzo odległych zazwyczaj składów solnych, które zresztą z czysto administracyjnych względów nie mogą się zajmować sprzedażą tak małych ilości — kosztowałoby rolników za drogo. Zresztą zarządy austryackich kolei przyznały znaczne zniżenie taryfowe tylko dla przesyłek cało-wagonowych, a przynajmniej pół-wagonowych, t. j. dla 100 a przynajmniej 50 centnarów metrycznych. Ażeby więc tę ulgę taryfową jak najbardziej wyzyskać, potrzeba koniecznie sprowadzić sól bydlęcą od razu na cały rok i całemi gminami, a w razie, gdy ilość roczna przypadająca na jedną gminę, jest mniejsza niż 50 centnarów metrycznych, nawet kumulatywnie, t. zn. po kilka gmin społem.

Takie łączenie się kilku gmin do kumulatywnego poboru soli bydlęcej, natrafi niezawodnie w wielu okolicach na znaczne trudności, wielu robotnikom także przykro będzie zamawiać sól bydlęcą od razu na cały rok i należytość za nią z góry zapłacić. Otóż, aby tę uciążliwość ile możności złagodzić, zezwala obecne rozporządzenie ministeryalne na zakładanie magazynów soli bydlęcej przez korporacye autonomiczne lub rolnicze. Założenie państwowych składów soli bydlęcej po za obrębem c. k. składów solnych, jest wedle zasad obowiązujących zarząd monopolu solnego, niemożliwe. Owoż obecnie wolno ministerstwu finansów udzielać korporacyom autonomicznym lub rolniczym koncesyi na zakładanie składów soli bydlęcej, a nie będzie ono miało także nic przeciw temu, ażeby te korporacye prowadzenie tych składów powierzyły trzecim osobom, np. kupcom, wszelako wobec rządu odpowiedzialne będą te korporacye za dotrzymanie przepisanych warunków.

Zakładanie tych magazynów przyniesie tę korzyść, że każdy rolnik będzie mógł w nich przypadającą na niego na cały rok ilość soli bydlęcej zakupywać częściowo kiedy mu się podoba. Spodziewać się także należy, że sól sprowadzana do tych magazynów całymi wagonami, sprzedawaną w nich będzie po cenie jak najtańszej. Spodziewać się należy, że korporacye te osobliwie rolnicze w interesie podniesienia chowu bydła zajmą się gorliwie powierzoną w ich ręce organizacyą sieci koncesyonowanych składów soli bydlęcej, tak, ażeby każdy skład taki znajdował się przynajmniej w siedzibie każdego sądu powiatowego, a w usiłowaniach tych kompetentne władze skarbowe niewątpliwie skutecznie popierać je będą.

Upraszamy naszych prenumeratorów na prowincyi o wczesne odnawianie prenumeraty. Wynosi ona na prowincyi 1 zł 10 ct. (a nie 1 zł.) miesięcznie. W tym stosunku prosimy abonament obliczać.

Administracya „Przeglądu".

KRONIKA.

Lwów 24 stycznia.

Przyjazd hr. Szuwałowa. O przybyciu hr. Szuwałowa do Warszawy donoszą na razie tyle tylko: Przed dworcem zebrały się tłumy publiczności, a kiedy powóz ruszał, okrzykami „hura!" witano nowego jenerał-gubernatora; również na ulicach, któremi hr. Szuwałow przejeżdżał, stało dużo ludzi; mężczyźni w chwili przejazdu powozu z hr. Szuwałowem zdejmowali kapelusze. Przyjazd hr. Szuwałowa był w rażącej sprzeczności z wyjazdem Hurki z Warszawy. Kiedy Hurko przejeżdżał przez ulice miasta nikt kapelusza nie zdejmował i panowała cisza grobowa. We wtorek 22 bm. nowy jenerał gubernator przyjmował w sali recepcyjnej na zamku przedstawicieli duchowieństwa i szlachty.

Godność szambelana otrzymał kapitan p. Władysław Nałęcz Gostomski.

Bankiet na cześć dra Jana Czaykowskiego, prezesa Izby adwokackiej, powołanego na członka Izby panów, urządza lwowska Izba adwokatów dnia 30 stycznia o godzinie 6-tej wieczorem w Kasynie miejskiem.

Uczczenie pamięci. W dniu wczorajszym, staraniem urzędników lwowskiej filii krakowskiego Towarzystwa wzajemnego kredytu, odbyło się w tutejszym kościele Archikatedralnym uroczyste nabożeństwo żałobne za spokój duszy ś. p. Józefa Mrazka, generalnego sekretarza Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie, na którem wśród licznie zgromadzonej publiczności ze sfer finansowych byli obecni: J. E. minister Jaworski, członek Izby panów Dr. Marchwicki, poseł hr. Męciński, dyrektor Żaba i w. i.

Konkursa. W Niżankowicach wolną jest posada sekretarza miejskiego z roczną płacą 500 złr. Podania należy wnieść do 15 marca. — Rektorat lwowskiej politechniki ogłasza z terminem do 4 lutego br. konkurs na posadę asystenta astronomii sferycznej i wyższej geodezyi z roczną płacą 600 złr. — Rada szkolna okręgowa w Drohobyczu rozpisała z terminem do 20 lutego konkurs na posadę gr.-kat. katechety w szkołach ludowych w Drohobyczu z roczną płacą 700 zł. i dodatkiem.

Ślub. W sobotę dnia 26 b. m. o godzinie 7 wieczorem odbędzie się w kościele OO. Bernardynów we Lwowie ślub panny Jadwigi Kropiowskiej, córki Karola, przemysłowca we Lwowie i Zofii z Jaźwieckich, z p. Kazimierzem Jakubowskim, księgarzem, spólnikiem ruchliwej i zasłużonej na polu wydawniczem firmy: Jakubowski i Zadurowicz.

---

2)

Ostatnia nowela Dygasińskiego.

(Ciąg dalszy).

Zjadł obiad, wyszedł przed chałupę, a psiak się za nim wygramolił. Nawrot ziewnął głośno, przeciągnął się, włożył prawą rękę pod kołtun i drapał głowę wszystkiemi pięcioma palcami. Od niechcenia rzucił okiem na szczeniaka. „Duży będzie i mocny" — pomyślał. Schylił się, wziął psa za kark, podniósł do góry, zajrzał mu w usta. „Będzie czujny, cięty, bo ma czarne podniebienie... Możeby go zostawić na chowanie, a Finkę powiesić na wierzbie? Suka już stara, wysłużyła swoje...."

Z tych myśli wyrwał go głos sąsiada Suchara, który, oparłszy się obiema rękoma na granicznym płocie, kurzył fajkę i patrzył na podwórko Nawrota.

— Co to za szczeniak? — zapytał Suchar.

— Po Fince — odrzekł Nawrot, nie odwracając nawet głowy do sąsiada.

— Wiem, że nie po krowie!... Dałbym wam setny worek plew za tego pieska, bo mi stróża potrzeba przy chałupie, a wy nie macie co dawać jeść gadzinie.

— Dodajcie wiązkę słomy!

— Wiązka wiązce nie równa... Ocipkę dodam, słoma na przednowku — rarytas.

I zaraz pies, którego dzieci Nawrota nazywały już Kwiatkiem, przeszedł do chaty o wiele zamożniejszego sąsiada.

W zasobnej chacie Suchara było młodemu psu dyabelnie nudno. Stara kotka nieustannie drzemała na nalepie lub przed chałupą i Kwiatek nadaremnie usiłował dojść z nią do jakiejś zażyłości. Zbliżał się, podchodził, dotykał jej łapą, czasem delikatnie pomacał zębami; leniwa kocica rozdziawiała gębę, mruczała, pomiaukiwała i, aby się uwolnić od psich zaczepek, uchodziła na strzechę, albo wskakiwała na piec. Pies wyprawiał wtedy przeróżne sztuki, usiłując sprowadzić do siebie kotkę: przywarował naprzykład i posyłał ku niej wymowne figlarne spojrzenia, to znowu szczekał takim głosem, w którym nie było złości. Nic nie pomagało; kotka, siedząc na wysokościach, mrużyła oczyma, zachowywała się arcyobojętnie.

Zaczepiał też Kwiatek prosięta, kury, ale i one nie miały chęci do zabawy. Chciał się zabawić z rzeczami nieżywemi i gdy raz znalazł na ziemi czapkę gospodarza, wziął ją w zęby, wlazł pod łóżko, szarpał, dziurawił. Oberwał za to kijem. Jednego razu zwróciła jego uwagę suto fałdowana spódnica na gospodyni, krzątającej się po izbie: fałdy w ruchu sprawiały wrażenie czegoś żywego. Przyczaił się Kwiatek, i kiedy Sucharowa wynosiła za próg szaflik pomyj, skoczył nagle, pochwycił zębami za brzeg spódnicy. Baba straszliwie zaklęła i wrzasnęła na psa, który, stropiony, chciał ujść, wpadł jej pod nogi i gospodyni padła jak długa. Oj, odebrał on za to plagi!

Różne takie przygody zniechęciły Kwiatka do figlów na własnych śmieciach, a przeto w sąsiedztwie o płot zaczął szukać rozrywki, ale i to skończyło się batami.

Kwiatek teraz coś spoważniał i mniej dbał o rozrywki, a począł gonić za wygodami; nadeszła bowiem zima, której mrozy zdawały się ziębić nietylko ciało, lecz i serce żyjącego stworzenia. Ta skłonność młodego psa wcale nie odpowiadała życzeniom jego pana. Suchar pragnął, aby przyszły stróż jego majątku hartował się i w tej wczesnej dobie życia przywykł do wszelkich zmian powietrza. Pies, którego powołaniem jest strzedz chaty przed złodziejami, powinien spędzać nocy na podwórku, i o ile można, czuwać, to jest baczyć na każdego przechodnia, obszczekując go głośno, energicznie. Nie szkodzi bynajmniej, jeżeli pies taki, uniesiony namiętną dbałością o dobro gospodarza, dobiera się do łydek obcym ludziom, szarpie na nich sukmany i szarawary. To mu się pochwala. Atoli nasz pies nie lubił deptać gołemi stopami po śniegu, lodzie i w ciągu zimy po całych dniach czatował tylko, aby wpaść do chałupy gospodarskiej, wleźć tam pod komin, pod łóżko i wypoczywać — używać zakazanych owoców.

— Widzicie go, jaki to delikat psia jucha — wykrzykiwał nieraz gospodarz.

I kopnąwszy Kwiatka potężnie nogą, wypędzał go co tchu z ciepłej izby.

Było tam u Sucharów każdemu zwierzęciu dobrze, tylko nie psu. W wygodnych, należycie opatrzonych stajniach zamieszkiwały konie i krowy; gdy drzwi otwarto, cieplutka para kłębami buchała z tego bydlęcego raju. Również i nierogacizna miała obok chaty porządny chlewik, suto wysłany słomą. Gospodarz i gospodyni zwracali na Kwiatka tem baczniejszą uwagę, im więcej usiłowań pies ten dokładał, aby zyskać równouprawnienie z innymi czworonożnymi współmieszkańcami zagrody. Sucha-[illegible] przekleństwa w najgorszym stylu. Nawet posiłku nie pozwalano mu przyjmować w izbie, lecz wynoszono w skorupie do sieni. Zakradł był się on kilka razy między krowy i tam sobie dobrze wyleżał boki, wypoczął; ale kiedy go gospodyni spostrzegła, wytłukła kijem i wypędziła. Skomląc w niebogłosy, uchodził nieborak w jaki odległy kąt zagrody, aby sobie wylizać zbolałe części ciała. Tak schodziła Kwiatkowi zima na nieustannych zatargach z ludźmi, usiłującymi zaprawić go do ciężkich psich obowiązków. W mroźną, gwiaździstą noc, pozostawiony nieraz na podwórku, biegał tu i owdzie, ażeby ruchem rozgrzać kostniejące członki. Słyszał on wtedy we wsi odległe szczekanie i wycie psów, jednakże bynajmniej się nie poczuwał do robienia czegoś podobnego. Jednego razu gospodarz spotkał go wystającego pod drzwiami i już się nań zamierzył nogą; ale Kwiatek wiedział, czem to pachnie, i umknął, a Suchar z wielkiego rozmachu potknął się i łbem tak palnął o futrynę drzwi, aż mu czapa z głowy spadła. Złości, przekleństwa było tyle, — że pies do wieczora nie śmiał podejść ku chałupie. Przy sposobności dostał za to rzetelny basarunek.

— Na to cię, hyclu, trzymam i żywię, żebyś służył, jak się patrzy! — mawiał zwykle Suchar do swego parobka i do Kwiatka, — a zawsze przy tej przemowie czynna była ręka lub noga.

Młody pies rozrastał się bardzo ładnie; ale wcale nie wyglądał na to żeby miał kiedyś z zamiłowaniem i przejęciem pełnić obowiązki strażnika chłopskiego dobytku. Być zawsze sytym, mieszkać ciepło, prowadzić życie spokojne, nie szarpane przez żadne namiętności — oto cele, które Kwiatek usiłował osiągnąć. Syn Finki miał rasową fizyognomię: długie, obwisłe uszy, nieco krwią zaszłe oczy, długie, pogardliwe odęte wargi, szerokie piersi i w ogóle — silną budowę ciała. Postawą swoją zdawał on się mówić: „Ja przecież nie jestem od łapania złodziei!" Nieustannie prześladowany, wypędzany z izby i stajni, Kwiatek wygrzebał sobie kotlinę w kupie nawozu przed stajnią i, nie zrzekając się bynajmniej marzeń o wyższym stopniu komfortu, tymczasem przesypiał nocy w ciepłej, wilgotnej, choć niemile woniejącej mierzwie. Rano wyłaził ztamtąd zaspany, przeciągał się, ziewał, strząsał ze skóry rozmaite nieczystości i biegł zaraz do chaty, jak gdyby z przekonaniem, że to jego pogodzenie się z losem zasługuje na uznanie; ludzie powinni go teraz pochwalić i dać mu śniadanie. Przed drzwiami zamkniętej izby przysiadał pies na ogonie i czekał, wyprostowany frontem. Jeżeli drzwi nie otwierano, wtedy niecierpliwem mruczeniem dawał znać o swojej obecności. Drzwi się oto nareszcie otwarły, wychodzi zaspana i rozczochrana gospodyni, w ręku niesie wszystko, co jest do dojenia krów potrzebne. Spojrzała na psa i zaraz łaje:

— O ty zatracony jakiś, psia-wiaro!... Kajżeś się znowu tak ubabrał, jak nieboskie stworzenie?

Pies merda ogonem, radośnie podskakuje, idzie z babą do krowiarni. Rozkoszne ciepło go owiało, położył się zaraz przy jakiemś śpiącem cielęciu i, wygrzewając sobie boki, czekał, dopóki Sucharowa krów nie wydoi. Baba skończyła swoją czynność i on się też podniósł, a krowy niespokojnym wzrokiem nań spoglądają, pomrukują, jak gdyby miały podejrzenie, że to może być wróg cieląt. Kwiatek utopił badawcze i chciwe oczy w naczyniu pełnem mleka, obliżuje się raz po razu. Z jakąż rozkoszą wypiłby to wszystko na śniadanie! Kilka kropel mleka rozlało się na ziemię, wylizał czysciutko — bardzo smaczne. Wracają do chaty, gospodyni była jakaś roztargniona i pies wśliznął się za nią niepostrzeżony; cichutko wlazł pod łóżko, wyciągnął przed siebie przednie łapy, położył na nich swoją wspaniałą głowę, patrzył na izbę. Sucharowa krzątała się około [illegible] nej swobody, nie mówiąc już o tej starej kocicy, która obcowała z gospodynią poufale, jak córka: ocierała się o jej spódnicę i pomiaukiwała, przypominając, że jest na czczo do tej pory. Natrętne prosięta ciągle zbierały coś po ziemi, gryzły w zębach i skrzętne poszukiwania zaprowadziły je aż pod łóżko, gdzie w ciemności zaczęły psa szturchać ryjkami. Kwiatek miał jakiś wstręt do tych stworzeń, więc zębami chwycił jedno z nich za ucho i uciął. Porwały się przerażone prosięta, z kwikiem niezadowolenia przebiegły izbę jak szalone, uderzyły we drzwi, otwarły je z łoskotem i wypadły do sieni. W tej chwili właśnie Sucharowa nalała miseczkę mleka i postawiła ją w pobliżu łóżka nawołując: „kici, kici, kici!" Kocica przybiegła, zaczęła pożywać śniadanie: jadła delikatnie, jakby lizała tylko mleko po wierzchu. Pies nie mógł się oprzeć pokusie i, gdy baba weszła na chwilę do komory, wyskoczył z pod łóżka, w trzech łykach wypróżnił miseczkę, poczem wrócił na swoje stanowisko. Cdn.

Wiadomości dyecezyalne. Gr.-kat. archidyecezya lwowska: Prezentę na gr.-kat. probostwo w Hliboce na Bukowinie otrzymał ks. Teodor Matejków, dotychczasowy paroch w Putyłowie.

Jubileusz ks. arcyb. Kozłowskiego. W dzień Bożego Narodzenia arcypasterz mohylewski ks. Kozłowski obchodził w Petersburgu pięćdziesięcioletni jubileusz swojego kapłaństwa. Przy tej sposobności przypominano wybitniejsze daty z życia jubilata.

Ks. Szymon Kozłowski urodził się w roku 1819 z rodziców należących do szlachty wileńskiej. Ukończywszy studya gimnazyalne w Kiejdanach, wstąpił do seminaryum dyecezyalnego w Wilnie, skąd jako alumna, celującego nauką i pobożnością, w r. 1841 zwierzchność seminaryjna przeniosła go do miejscowej akademii duchownej. Ponieważ w rok później sama akademia duchowna przeniesioną została do Petersburga, ks. Kozłowski, jako młody kleryk, odbywał wyższe kursa teologiczne nad Newą. Dnia 23 grudnia 1844 przyjął święcenia kapłańskie, a nazajutrz miał pierwszą mszę św. w kaplicy akademickiej t. zw. pasterkę. W czerwcu 1845 ukończył studya akademickie ze stopniem magistra teologii „maxima cum laude“ i wkrótce mianowany został nauczycielem religii w gimnazyum kowieńskiem, podówczas bowiem Kowno należało jeszcze do dyecezyi wileńskiej. Niedługo jednak zajmował tę posadę, bo już w roku 1846 widzimy go profesorem, wykładającym teologię moralną i wymowę kościelną w seminaryum wileńskiem. Rok 1847 był doniosłego znaczenia w życiu ks. Kozłowskiego, albowiem ks. Ignacy Hołowiński, rektor akademii duchownej w Petersburgu, oceniając zdolności dawnego swego ucznia, powołał go na profesora historyi kościelnej i prawa kanonicznego w tej akademii na miejsce ks. Kaspra Borowskiego, podówczas mianowanego biskupem łucko-żytomierskim.

Krótko wprawdzie, bo tylko trzy lata młody profesor zajmował katedrę akademicką, ale wybitne to stanowisko pedagogiczne, rozszerzając w nim horyzont wiedzy kościelnej, jednocześnie utorowało mu drogę do obszerniejszej działalności w Kościele naszym. W roku 1851 mianowany rektorem i profesorem seminaryum wileńskiego, przez lat dwanaście na tem stanowisku przewodniczył młodzieży duchownej i wychował liczny zastęp kapłanów dla swej dyecezyi. W tym czasie ks. biskup Żyliński mianował ks. Kozłowskiego kanonikiem kapituły wileńskiej, a jego następca ks. Krasiński wyniósł go na godność prałata tej kapituły. W r. 1863 ks. prałat Kozłowski złożył urząd rektora seminaryum, a w r. 1866 znowu przybył do Petersburga, jako delegat kapituły wileńskiej do kolegium rzymsko-katolickiego. Tu cieszył się szczególnymi względami ks. arcyb. Fijałkowskiego, za którego staraniem otrzymał nominacyę na rektora akademii duchownej w roku 1877. Na urzędzie rektorskim spotkała go wielka godność, biskupstwo. Dnia 3 marca 1883 prekonizowany na biskupa łucko-żytomierskiego otrzymał konsekracyę z rąk ks. bisk. Bereśniewicza. Nie był to jednak ostatni etap w hierarchii kościelnej, jaki osiągnął najdostojniejszy jubilat. Dnia 2 grudnia 1891 ks. biskup Kozłowski przeniesiony został na arcybiskupstwo mohylewskie i jako arcybiskup i metropolita objął ster archidyecezyi najobszerniejszej na świecie pod względem przestrzeni.

Duchowieństwo katolickie w Rosyi uczciło wedle możności jubileusz swego arcypasterza. Kapituła archidyecezyalna, za staraniem ks. biskupa sufragana Symona, ofiarowała mu szczerozłoty krzyż biskupi; akademia duchowna w osobnym adresie wynurzyła mu synowskie uczucie uległości i ofiarowała ornat z bogatej srebrnej materyi, złotem lamowany. Seminaryum dyecezyalne przyniosło w darze swemu arcypasterzowi duży kielich mszalny. Duchowieństwo zaś parafialne stolicy i niektórzy proboszczowie z prowincyi przy serdecznych jubileuszowych życzeniach swoje złożyli dary. Kapituła łucko-żytomierska wystosowała adres, w którym wspomniawszy o dziesięcioletnich prawie rządach dyecezyą, wyraziła najdostojniejszemu jubilatowi a niegdyś swemu pasterzowi serdeczne życzenia w imieniu duchowieństwa całej dyecezyi. Nadto otrzymał arcypasterz liczne telegramy i listy z powinszowaniami od osób duchownych i świeckich całego kraju.

Pozostaje jeszcze słówko o samej uroczystości jubileuszowej. Dnia 25 grudnia Najczcigodniejszy jubilat w kościele katedralnym sam odprawił uroczystą Mszę św., w asystencyi całego duchowieństwa stolicy, podczas której alumni Akademii duchownej śpiewali na chórze. Kazanie wygłosił profesor Akademii, ks. Retke; wspomniał on o wybitniejszych zasługach jubilata i w imieniu duchowieństwa i ludu złożył mu życzenia długich i pomyślnych jeszcze lat pasterzowania. Po kazaniu Arcypasterz udzielił wszystkim wiernym odpustu biskupiego i błogosławieństwa pasterskiego. Po skończonej Mszy św. i odśpiewaniu „Te Deum“ Najdostojniejszy jubilat jeszcze raz udzielił błogosławieństwa ludowi. Cała uroczystość skończyła się o 12½ godzinie. O 1-ej godz. przybyli do Arcypasterza dyrektor i wice-dyrektor departamentu obcych wyznań, a wkrótce potem i sam minister Durnowo, i składali życzenia. W tymże dniu ks. Arcypasterz otrzymał od cesarza złoty krzyż ozdobiony brylantami, o czem już pisaliśmy. Uroczystość jubileuszowa zakończyła się obiadem w gmachu seminaryum, w którym jubilat podejmował całe duchowieństwo stołeczne i niektóre osoby świeckie.

Pogłoska. Od dwóch dni obiega po Lwowie pogłoska, że w Warszawie zaaresztowano kilku księży. Pogłoskę tę puścił w świat korespondent *Dziennika Poznańskiego*, człowiek, który tyle już fałszywych pogłosek wymyślił, że nie spisałbyś ich na wołowej skórze. Więc, jakkolwiek nie wiemy o tem, czy aresztowano czy nie aresztowano księży w Warszawie, to ponieważ źródło tej wiadomości jest niepewne, sądzimy, że właściwiej jest przyjąć ją do wiadomości bez wiary.

O sejmiku relacyjnym p. Lewakowskiego lwowski korespondent *Czasu* robi następujące słuszne spostrzeżenia:

„Z wyrazem nieskończonej pewności siebie, w pozie uwieńczonego trybuna, opowiadał p. Lewakowski wczoraj „narodowi“, zgromadzonemu w ratuszu o swoich wiekopomnych zasługach: pracy w Kole polskiem. „Jestem w opozycyi!“ — wołał na wszelkie tony, a to ze wszystkich zasług tego męża stanu największa.

Mówić zawsze: nie! — to zaznaczać bądź co bądź swoje istnienie, to wysuwać się na odrębne stanowisko. Tak zaznacza swoje istnienie i wbija się w pamięć słuchaczy flet czy klarnet w orkiestrze, który do zgodnego chóru wprowadza ostrą, fałszywą nutę... Wobec tej żądzy zaznaczenia się, jakąż wartość mieć mogą obowiązki solidarności i względy polityczne. W pracy dodatniej łatwo zniknąć, bo pracowników w tym kierunku jest wielu z doświadczeniem większem i wytrawnością parlamentarną; wśród nich niepodobna się wybić. Więc trzeba protestować i wołać: nie! To wszyscy usłyszą, a zawsze znajdą się tacy, którzy gromkimi przywtórzą oklaskami. Stara metoda, jak świat, do której należą różne zużyte hasła, jak n. p. demokracya. Komu nie obce są ewolucye, jakie ludzkość przebyła w ostatniej dobie, ten wie, że społeczeństwa tak bardzo zdemokratyzowały się, iż dzisiaj samo hasło straciło znaczenie. Wiadomo n. p. że ci, którzy przed laty stanowili „demokracyę“ we Francyi, stoją dziś u steru i jest przeciw nim takie samo działanie, jak przeciw dawniejszej „arystokracyi“ z czasów Ludwika XVI.

P. Lewakowski stoi jednak na jednem miejscu i zasłyszane w dzieciństwie frazesy powtarza i dzisiaj, — *il enfonce la porte ouverte*, wołając: łączmy się w towarzystwa demokratyczne!

A jakie wskazuje środki; oto powszechne głosowanie! Niech p. Lewakowski wskaże choćby jedno państwo, któremuby powszechne głosowanie — „powszechne kłamstwo“ — jak je określono — przyniosło jakąkolwiek korzyść, a ja pierwszy „as“, korespondent „reakcyjnego“ *Czasu*, będę p. Lewakowskiego popierał. Dopóki jednak takiego dowodu nie mam, a natomiast słyszę takie zabawne obietnice, że powszechne tajne głosowanie przyniesie niezmierne korzyści, jakoto: podniesienie przemysłu (*sic!*), polepszenie doli urzędników (?!) itp., to cała ta retoryczna eskapada posła m. Lwowa będzie nietylko wyglądała na donkiszoteryę polityczną, która może znaleźć poparcie nie „demokracyi, lecz radykałów, lub znanych i zasłużonych „hydrotechników“ w rodzaju b. profesora Jaegermanna, który też nie omieszkał występu p. Lewakowskiego uczynić polem własnego popisu.

Qui se ressemble, s'assemble — powiada francuskie przysłowie. W polskim języku, o ile pamiętam, nie mamy równoznacznego; za to Rusini powiadają prawdziwie, choć nieco trywialnie o tym, który jechał i takiego samego „zdybał“. P. Lewakowski, jadąc z Wiednia na opozycyjnym i protestującym koniku, „zdybał“ p. Jaegermanna, który od dawien dawna zaznaczać zwykł swoją egzystencyę opozycyą przeciw wszystkiemu i wszystkim. Wnioski jego z reguły przepadają, on sam pomimo tego przemawia głośno, ze sztucznym patosem i to mu daje podstawę — bytu. Któżby inaczej wiedział o byłym profesorze Szkoły politechnicznej?.. „Hydrotechnik“, unosząc się na rozbujałych fluktach własnej wymowy, sławił nowoczesnego „Rejtana“, który znów, zawsze w pozie uwieńczonego trybuna, zapewniał, że gdyby nie był zaprotestował przeciw przyjętej w całym świecie formie parlamentarnej w wyrażaniu kondolencyi po zgonie jednego z panujących europejskich, nie byłby godnym nazwy posła m. Lwowa.

Nazwa ta może oznaczać wiele, albo bardzo mało, nie miejsce bowiem zdobi człowiek, lecz człowiek miejsce. Właściwy człowiek na właściwem miejscu, to reguła w dobrze uorganizowanem społeczeństwie, a właściwym człowiekiem nietylko u nas, ale wszędzie, jest tylko ten, który nie schlebia instynktom tłumu, lecz stara się niemi rozumnie kierować. Nie jest wcale, zdaniem mojem, cywilną odwagą krzyknąć: protestuję! w parlamencie wiedeńskiem i łamać solidarność Koła polskiego, w przekonaniu, że „protestantowi“ zgoła nic nie grozi — jest zaś niewątpliwie odwagą zawołać: protestuję! na ratuszu lwowskim, jak to uczynił wczoraj zgoła mi nieznany p. Dobrzański, który tym okrzykiem przerwał wywody p. Lewakowskiego i huczne wiwaty zgromadzonych zwolenników szumnych frazesów i powszechnego głosowania. W parlamencie wiedeńskim p. Lewakowski mógł być pewnym, iż go za jego protestacyę nie spotka żadna obelga, że nawet znajdzie chwilową, a miłą jego sercu popularność w sferach wiadomych — p. Dobrzański wnosząc swój protest, naraził się na okrzyki: wyrzucić go za drzwi! — naraził się na to, że sam p. Lewakowski, zwolennik powszechnego głosowania i bezgranicznej swobody głosu, wołał: „Grodno! Targowica!“ nie dozwalając mówcy umotywować swego protestu, chociaż p. Dobrzański nie był skrępowany ani żadnymi względami politycznymi, ani obowiązkiem solidarności z gronem posłów polskich.

Postępowanie wczorajszego zgromadzenia i samego p. Lewakowskiego, wobec protestu p. Dobrzańskiego, jest najlepszym dowodem, jakim jest ów ideał „demokracyi“; jest to teroryzm najgorszego gatunku, bo nie liczący się z nikim i z niczem, nie liczący się nawet z tą konsekwencyą, której wymaga raz postawiona zasada wolności głosu. PP. Lewakowskim i Jaegermanom wolno wszystko — swoboda głosu dla nich tylko istnieje. Wszystko inne, to Grodno i Targowica, a oni, to — Rejtanowie, dla których nawet wyrabianie koncesyi kolejowych jest czynem patryotycznym!

Głos p. Dobrzańskiego jest jednak dowodem, że wobec zmartwychpowstającej tromtadracyi, budzi się własną siłą instynkt zdrowy. Nie wchodzimy w to, czy wszystko, co mówił p. Dobrzański, było wygłoszone w formie odpowiedniej; sam jednak głos protestu był czynem nietylko cywilnej odwagi, lecz objawem dojrzałości politycznej, godnym zaznaczenia, był objawem budzącej się rozwagi wśród szerokiego ogółu, który chciano omamić frazesem. P. Lewakowski — jesteśmy przekonani najmocniej — musi mieć sam to przeświadczenie, iż postępowanie jego nie jest wcale zgodnem z opinią znacznej, rozsądnej i rozważnej części jego wyborców. Wie on dobrze, że zgromadzenia sejmikowe na ratuszu lwowskim oddawna przestały być wyrazem zdrowej opinii stolicy kraju; wie doskonale, że na te zgromadzenia idą jedni, aby czemś przecie zamarkować swoje istnienie, a drudzy dla ciekawości ujrzenia „szopki“. W pierwszej też części swego przemówienia, poseł miasta Lwowa usiłował przekonać słuchaczy, że to zgromadzenie nie jest „szopką“. Wiedział, że tak jest i dowodził przeciwnie, dla salwowania własnej powagi, mocno na szwank narażonej.

Jakimi środkami ta powaga ochronić się usiłuje, za dowód niech posłuży szczegół, o którym może nie wszystkim wiadomo, iż wizerunki p. Lewakowskiego, zaraz po protestacyi wiedeńskiej, rozesłane zostały w niezliczonej ilości egzemplarzy, nietylko po Galicyi, która jest w stanie ocenić działalność posła m. Lwowa, lecz i tam, gdzie o stosunkach naszych zgoła pojęcia mieć nie mogą i gdzie tego rodzaju przesyłki narazić mogą tylko na wielką odpowiedzialność tych, do których są adresowane. Co to jednak znaczy „rozpusta popularności!“

O wystawie lwowskiej wychodzący w Paryżu pod redakcyą p. Gonse, znanego pisarza i estetyka, miesięcznik p. n.: „Gazette des Beaux-Arts“, będący najpoważniejszym organem spraw, dotyczących sztuki plastycznej, zamieścił w ostatnim zeszycie artykuł tej treści: Od 1 czerwca do 1 października, Lwów, pełna kokieteryi urzędowa stolica Polski austryackiej, stwierdziła żywotność narodową wystawą polską, której nie brakło świetności, i o której należało więcej mówić i pisać. Prócz malowniczych tłumów wieśniaków, przybyłych ze wszystkich stron kraju, trzy rzeczy stanowiły najsilniejszy powab tego turnieju galicyjskiego, mianowicie: przemysł naftowy, wystawa szkolnictwa, oraz sztuka i starożytności, między któremi podziwiano cały szereg niesłychanie ciekawych i bardzo starych przedmiotów, służących do obrządku żydowskiego. Dzieła Matejki, malarza narodowego krakowskiego niedawno zmarłego, były zgromadzone w osobnym pawilonie. Niezwykłe głębokie wrażenie ogarniało widza, na widok tych olbrzymich płócien historycznego malarstwa, namalowanych przez człowieka słabego wzroku; były tam obrazy, na których poruszały się setki postaci wielkości naturalnej, trawionych gorączką i namiętnością, na tle bogatych i wspaniałych dekoracyi, będących najdokładniejszem i najwierniejszem wskrzeszeniem przeszłości. Nikt, tak jak Matejko, nie umiał malować tłumów, nadawać im życia, ruchu i namiętności, coś w rodzaju, przypominającym chóry w oratoryach Bacha. Wszechpotężny duch miłości ojczyzny ożywia jego obrazy, a płomienne natchnienie oświeca kilka z jego najlepszych utworów, jak n. p. ów sławny „Sejm warszawski“, przed którym gromadzą się zawsze tłumy w Muzeum Cesarskiem w Wiedniu. Jaskrawy kolorysta, patryota, artysta zakochany w tonach purpurowych i błyszczących, był on może ostatnim malarzem historycznym z przekonania, a w każdym razie ideałem narodowego malarza wszystkich czasów! Matejko posiadał w najwyższym stopniu dar życia pieniącego się siłą, ruchem i namiętnością, i tym właśnie przedziwnym i cudownym przywilejem okupuje wszystko, co w jego malarstwie jest trochę przesadzonem, egzaltowanem, deklamacyjnem i teatralnem. Był on rzeczywiście ojcem tej młodej szkoły polskiej, ożywionej wielkiemi lekcyami mistrzów francuskich: od Delacroix aż do Puvis de Chavanne, tej szkoły, której niesłychany temperament, dzielność i dobry humor mogłyby nam zgotować pewnego dnia pożądane niespodzianki.

W Krakowie, w Muzeum w Sukiennicach, obok starszych dzieł, bardzo zajmujących i za mało znanych, znajduje się szereg dzieł współczesnych rzeczywistej wartości, między nimi kilka olbrzymich płócien Matejki. W końcu opowiada autor artykułu, że przed kilku laty będąc w Krakowie, poczynił kroki, aby być u Matejki, ale mu odpowiedziano, że musi odstąpić od swego zamiaru, bo Matejko rozumie tylko swój ojczysty język.

Mój herb i herb mojej żony. W Wiedniu zdarzył się w tych dniach następujący fakt autentyczny: Pewien bogaty bankier tamtejszy, posiadający więcej milionów aniżeli przodków, chcąc naśladować arystokracyę, zamówił sobie w Hong-Kong w fabryce porcelany dwa kompletne serwisy porcelanowe. Uważał jednak, że kopia manier arystokratycznych nie byłaby zupełną, gdyby serwis nie był zaopatrzony w herby. Kazał zatem narysować na wzór dwa herby, pod jednym z nich dla informacyi fabrykanta podpisał „mój herb“, pod drugim „herb mojej żony“. W parę miesięcy potem otrzymuje bankier awizo kolejowe, zapowiadające przybycie pak z serwisami. Ucieszony sprasza do siebie grono kuzynów i najbliższych swoich przyjaciół, ażeby uczestniczyli w uroczystości rozpakowania porcelany i wypili pierwszą herbatę z herbowych filiżanek. Nadchodzi owa uroczysta chwila. Paki pękają pod uderzeniami młotów, bankier z tryumfującą miną wyciąga z trocin i bibułek pierwszych kilka egzemplarzy, ogląda je, lecz nagle blednie, potem czerwienieje i z furyą rzuca porcelanę o podłogę. Struchlała familia wyjmuje resztę drogocennych naczyń i z przerażeniem spostrzega, że sumienny chińczyk, nie znając się na europejskich zwyczajach, na każdym kawałku porcelany, stosownie do informacyi bankiera umieścił pod herbami napis „mój herb“ lub „herb mojej żony“.

Pożary. Na folwarku w Hadykowcach koło Kolbuszowy pożar zniszczył stajnię dworską; w płomieniach zginął parobek, 38 sztuk bydła i 7 koni. Ogień powstał wskutek nieostrożnego obchodzenia się ze światłem. Parobek ów, który się spalił, wszedł z zapaloną świecą do stajni; świeca wypadła mu z rąk na słomę, która w jednej chwili jasnym buchnęła płomieniem. Parobek chciał z komórki, znajdującej się obok stajni, wyratować swe rzeczy, ale ogień tak szybko się rozszerzył, że już ze stajni wyjść nie mógł i zginął w płomieniach.

Ze Starego Sącza donoszą nam, że dnia 30 zm. o pół do drugiej w nocy powstał pożar. Spłonęły dwa domy mieszczańskie i stodoła, położone w środku miasta. Że ogień zlokalizowano i dalszemu szerzeniu się jego przeszkodzono, zawdzięczyć należy jedynie wachmistrzowi tutejszego posterunku żandarmeryi Scholzowi, który z nadludzkiem wysileniem i niebezpieczeństwem utraty życia swego wpadł do domu prawie już w płomieniach będącego i przy pomocy dwóch żandarmów i kilku ludzi zdołał ogień ten zalać i dalsze szerzenie się pożaru powstrzymać, a tem samem ochronił znaczną część miasta od zniszczenia. Rada więc miasta Starego Sącza w uznaniu jego tak sprężystej i skutecznej działalności przy tym pożarze na posiedzeniu swem dnia 5 bm. odbytem uchwaliła wyrazić mu podziękowanie staropolskiem „Bóg zapłać!“, co niniejszem podajemy do wiadomości jego władzom przełożonym.

Nieszczęśliwy wypadek. W Bobrówce koło Sołotwiny zaczadziało w chacie sześć osób. Wszelkie próby przywołania ich do życia spełzły na niczem.

Stan powietrza. T. o 8 rano — 4° R. w poł. — 0° R. Bar. 750. Idzie w górę. Prześliczna pogoda.

Zakazany owoc.

— Ho, ho! Co widzę! Uchodzisz za wegetaryanina, a zajadasz befsztyk!

— Tak, bo uważam go za... owoc zakazany.

Teatr. Dziś we czwartek i piątek „Madame Sans-Gêne“, komedya w 4 aktach Wiktoryna Sardou i E. Moreau. W sobotę „Łucya z Lammermoru“. W niedzielę po południu „Zbójcy“, wieczór „Kazimierz Wielki, król chłopków i Bruzda“.

Głosy publiczności.

Z Koła literackiego proszono nas o zamieszczenie tego wiersza:

Słóweczek kilka o Imci panu Asie.

Słóweczek kilka o Imć panu *Asie*,
Zamaskowanym koledze gryzmole,
Który w krakowskim poczciwinie *Czasie*,
Gryzie zwyczaje w „Literackiem Kole“.

Więc o Stebelskim bredzi i o Lamie,
Którym nieznane były „Koła“ progi;
Z Urbańskim Bóg wie po co kopje łamie,
I Kasprowicza radby wziąć na rogi.

Imć panie *Asie*, choć to nie jest pięknie,
Ni w pięć, ni w dziewięć wywijać maczugą,
Lecz, że stąd głowa nikomu nie pęknie,
Więc nie zabawiam się z tobą zbyt długo.

Prosiłbym tylko Imci panie *Asie*,
O twe nazwisko; wyleź-no z za płota,
Bo radbym wiedzieć, co w twoim szałasie
Siedzi: prywata, zawiść czy ślepota.

A może zresztą z Ciebie grzeczny chłopak,
Z tego, uważasz, gatunku artystów,
Co to stosunki maluje na opak
Dla *Mickiewiczów* albo *Koźmianistów*.

Czy tak, czy owak, weź prośbę odemnie:
Bądź jak najczęściej gościem w naszej chacie.
Czas pożytecznie spędzisz i przyjemnie,
No i niechęci pozbędziesz się bracie.

M. Rodoć

SPORT.

Jockey Cluby wiedeński i budapeszteński ogłosiły już programy wyścigów na rok 1895.

W Wiedniu zjazd wiosenny obejmie 9 dni wyścigów, w których odbędą się 63 biegi: suma nagród wyniesie 328.000 koron. Zjazd letni 9 dni, również 63 biegi, 423.200 koron. Zjazd wrześniowy 8 dni, 56 biegów, 354.600 koron. Zjazd październikowy 6 dni, 42 biegi, 299.400 koron.

Razem więc odbędzie się w Wiedniu w 32 dniach wyścigów 224, na które przeznaczone nagrody wynoszą 1,405.200, a więc bez mała półtora miliona koron.

W Budapeszcie obejmuje zjazd wiosenny 8 dni, w nich 56 biegów, nagrody wynoszą 268.800 koron. Zjazd letni w 9 dniach 63 biegi, 292.100 koron. Zjazd jesienny 8 dni, 56 biegów, 304.800 koron. Więc w Budapeszcie w 25 dniach odbędzie się 175 biegów, a nagrody wyniosą 865.700 koron.

* * *

W ostatniej kronice „Sportu“ donosiliśmy, że bar. Alfons Rotschild prawdopodobnie posiada najliczniejszą obecnie w Europie stajnię wyścigową. Tymczasem dowiadujemy się, że przewyższa go pod tym względem p. R. Lebaudy, którego dzienniki nazywają „najwięcej internacyonalnym“ sportsmanem. Posiada bowiem 41 koni wyścigowych w treningu w Anglii, 28 we Francyi, a 25 w Totis w Węgrzech; razem więc 94 konie wyścigowe. Stada ma dwa we Francyi, z których jedno liczy 19, drugie 5 matek; — prócz tego 6 klaczy w Anglii, a 15 w Pervat w Węgrzech, — razem więc 45 matek i 5 ogierów czystej krwi!

Część ekonomiczna.

Wiedeń 22 stycznia.

(Z.) Po wczorajszej zniżce mieliśmy dziś znów haussę. Kredyty spadły wczoraj niespełna o 4 zł., a dziś podskoczyły o 5 zł. Motywem dzisiejszej zwyżki była wiadomość o zwołaniu na dziś konferencyi grupy Rotszyldowskiej, jak mówią celem naradzenia się nad nowemi operacyami finansowemi, tudzież zakupna arbitrażu. Zresztą i berliński targ był dziś w bardzo przyjaznem usposobieniu, gdyż rychła konwersya 4%-wych konsoli pruskich staje się coraz bardziej prawdopodobną i już na wczorajszem posiedzeniu sejmu pruskiego poruszono tę sprawę i domagano się dość natarczywie konwersyi z 4% na 3%.

Na giełdzie paryskiej tendencya jest od kilku dni chwiejną, gdyż sfery finansowe boją się nieustannie gabinetu radykalnego z p. Bourgeois na czele, którego program finansowy wielce je zatrważa.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 413·50, węgierskie 504·25, Anglobanki 183·25, Uniony 315·—, Bankvereiny 157·10, Länderbanki 282·90, Ludwiki 218·—, Czerniowieckie 298·40, Elbathale 274·25, Renta papierowa 100·45, srebrna 100·70, austryacka złota 126·35, 4% austr. renta wal. kor. 100·95, węgierska złota 124·35, 4% węgierska renta wal. kor. 98·85, dukat 5·81, 20-frankówka 9·89—, marki 12·19, ruble 1·33¼.

Wiedeń 22 stycznia. Spirytus 15·70—15·90.

§ **Z przemysłu naftowego.** Przed paru dniami donosiliśmy, iż w mieście naszym zawiązała się nowa wielka spółka naftowa z zakładowym kapitałem 400.000 złr. pod firmą Męciński, Płocki, Suszycki, Sroczyński i Ska. Spółka ta odbyła w dzień 16 bm. pierwsze zgromadzenie, na którem przez aklamacyę wybrała prezesem p. Józefa Męcińskiego, zastępcą tegoż p. Władysława Płockiego. Dyrekcyę powierzyła w ręce doświadczonego i zaszczytnie w świecie naftowym znanego już p. Tadeusza Sroczyńskiego. Do wyż wspomnianych firmantów również jako założyciele przystąpili pp. hr. Henryk Szeliski, Stefan Sękowski i dr. Jan Hupka, składając łącznie z firmantami 115.000 zł. Spółka wiedząc, iż wówczas tylko przedsiębiorstwo może być rentowne i ryzyko najmniejsze, gdy zakładowy kapitał będzie znaczny, postanowiła dopiero wtenczas rozpocząć roboty wiertnicze, gdy kapitał zakładowy 400.000 zł. dosięgnie z pojedynczych wkładek spólników które to wkładki w wysokości 500 zł. oznaczono. Nie wątpiąc, że wobec rękojmi, jaką dają swą firmą tak znani i wysoce w kraju szanowani założyciele i wobec doskonałych widoków powodzenia wkrótce kapitał zakładowy zastrzeżonej kontraktem sumy 400.000 zł. dosięgnie, życzymy z serca naszej wspólce: Szczęść Boże. *W. i T.*

§ **Sprawozdanie** tygodniowe izby handlowej i przemysłowej o cenach zboża i produktów we Lwowie od 12 do 19 stycznia 1894 r. — bez opłaty akcyzowej: Przenica 6·— do 6·55, żyto 4·85 do 5·20, jęczmień browarny 5·— do 5·95, jęczmień pastewny 4·— do 4·35, owies 4·85 do 555, hreczka 6·85 do 7·50, kukurudza zeszłoroczna 6·— do 6·25, kukurudza nowa 5·10 do 5·80, proso 5·55 do 6·—, groch do gotowania 5·50 do 8·50, groch pastewny 4·— do 5·35, soczewica 6·50 do 7·50, fasola 9·— do 30, bobik 4·— do 4·75, wyka 4·50 do 5·25, koniczyna 50·— do 100·—, tymotka 20·— do 30·—, anyż rosyjski —·— do —·—, anyż płaski —·— do —·—, kminek —·— do —·—, rzepak zimowy 8·— do 9·10, rzepak letni —·— do —·—, lnianka 6·— do 6·75, nasienie lniane 8·— do 9·25, nasienie konopne 6·— do 7·25, chmiel 36·— do 62·—, nafta zwykła 16·— do 17·—, nafta salonowa 18·— do 19·—, wosk ziemny —·— do —·—, Spirytus 10.000 litr. pr. gotowy kontyngentowany, bez podatku konsumcyjnego 14·30 do 14·65.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.** Kraków 22 stycznia.

Na targu dzisiejszym, ani w usposobieniu, ani w cenach zboża, nie zaszły rzeczywiste zmiany. Odbyt jest utrudniony tak samo jak dotychczas, a ceny z trudnością tylko trzymają się.

Płacono pszenicę białą 7·00 do 7·30, czerwoną 7·— do 7·20, żółtą 6·90 do 7·20, żyto 5·50 do 5·75, jęczmień browarny 6·00 do 6·75, na paszę 5·— do 5·20, owies 5·35 do 5·75 zł., rzepak —·— do —·—. Koniczyna czerwona 40 do 70, biała 60—95.—, tymotka 25·— do 35·— zł. Wszystko za 100 kilogr.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

§ **Targ na nierogaciznę.** Do krakowskiego zakładu kontumacyjnego przypędzono dnia 21 i 22 bm. 4745 sztuk. Płacono za chude od 26 do 32, tuczne od 32 do 36 zł. za 100 klg. żywej wagi. Załadowano do krajów monarchii 4336 sztuk.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 24 stycznia. Wczoraj umarł tu były członek rady miejskiej Treitl i zapisał cały swój majątek wynoszący milion reńskich tutejszej akademii umiejętności na cele astronomiczne.

Wczorajszy bal miasta Wiednia wypadł świetnie. Był na nim Cesarz, arcyksiążęta, prezes gabinetu ks. Windischgraetz, ministrowie, ciało dyplomatyczne i wielu członków arystokracyi. Cesarz zabawił na balu trzy kwadranse i rozmawiał z wielu obecnymi. Długo rozmawiał Cesarz z ministrem Madeyskim.

Paryż 24 stycznia. Dziś zakończy się zapewne przesilenie gabinetowe. Bourgeois oprócz prezydyum i teki spraw wewnętrznych obejmie także tekę finansów, Cavaignac tekę wojny, a Hanotaux tekę spraw zagranicznych.

Ateny 24 stycznia. Kanaris nie chce podjąć się misyi utworzenia gabinetu. Prawdopodobnie powierzy król tę misyę Delyannisowi.

Berlin 24 stycznia. *Börsen Zeitung* donosi, że ambasador niemiecki w Paryżu hr. Muenster odwołany zostanie z tego stanowiska, a zajmie je hr. Herbert Bismark.

Londyn 24 stycznia. Lord Churchill umarł.

Nizza 24 stycznia. Cesarzowa austryacka odbyła wczoraj przechadzkę na wzgórzach Cimiez, gdzie mieszkać będzie królowa angielska.

Paryż 24 stycznia. Powszechnie sądzą, że p. Bourgeois nie powiodło się utworzyć gabinetu. Wczoraj wieczorem rozeszła się tu pogłoska, że niemiecki strażnik graniczny zastrzelił jenerała Jamont, gdy polował w nadgranicznych lasach. Pogłoska ta okazała się nieprawdziwą, to też pisma domagają się surowego ukarania tych, którzy ją w świat puścili.

Londyn 24 stycznia. Minister Harcourt miał wczoraj w Derby mowę, w której oświadczył, że pokój europejski nigdy nie był tak zabezpieczony jak obecnie i że wszystko byłoby dobrze gdyby w łonie stronnictwa liberalnego panowała taka sama zgoda i solidarność, jak w łonie gabinetu.

HOTEL IMPERIAL

KRZYSZTOF JANOWICZ

we Lwowie — ulica Trzeciego Maja, 3.

Przyjechali dnia 24 stycznia. S. hr. Scipio z Krakowa. M. hr. Rey z Przecławia. J. K. br. Hohendorff z Szutrominiec. P. br. Engel z Budapesztu. A. br. Polnai z Budapesztu. J. Ballassa z Budapesztu. G. Szalay z Budapesztu. A. Tabaczyński z Wróblowiec. K. Bronec z Stróż. H. Czecz z Bierzanowa. K. Czecz z Kóz. S. Dąbski z Rudna.

Nadesłane.

Lwów dnia 24 stycznia (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 217·— do 220·—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 297.— do 300·—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 448.— do 460.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku pipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 101·30 do 102·—, 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.— 100·70, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 100·50 do 101.20, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97·— do 97·70 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·30 do 99·—, 4 proc. los. w 41 i pół latach 97·50 do 98·20, 4 proc. los. w 56 lat. 97·30 do 98·—.

Wiedeń 23 stycznia. Notowania wieczorne. Kredyty 414·—, węgierskie kredyty 505.05, anglobank 182.30, bankverein 157.25, unionbank 316.50, länderbank 284.70, staatsbahny 399.—, lombardy 104.50, elbethale 274·50, akcye tytoniowe 231·75, rima 288.75, alpiny 97·20, renta majowa 100.62, węg. renta złota 124.30, austr. renta koronna 101.—, losy tureckie 75.30, węg. renta koronna 99·10, marki 60.95, ruble 133.37.

Wiedeń 24 stycznia (godz. 11 w południe) Kredyty 414.15, kred. węg. —.—, Anglobanki 182.—, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 284.50. Akcye tyton. —.—, Staatsbahny 398.65, Lomb. (z kup.) 104.75, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —·—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —·—, Marki 60.90, Losy tureckie —·—.

18)

OSTATNI WYROK

POWIEŚĆ

MAKSWELLA GRAYA.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

Miał bowiem przed sobą świetne widoki na przyszłość, które otwierały szerokie pole dla jego ambicyi. Najgorszą z tego wszystkiego była przeprawa z rodzicami, która go czekała; ból, który musiał zadać ich kochającym sercom. Nie; było coś gorszego jeszcze: ta próżnia straszna w jego własnym życiu, to poczucie braków wszelkiego rodzaju, braków, które tak łatwo mógłby zapełnić, gdyby nie ten jeden szalony krok, który zwichnął całą jego przyszłość. Gdy już tajemnica jego zostanie wszystkim obwieszczoną, będzie mógł widywać dalej Gracyę, korzystać z jej towarzystwa i może wywiąże się między nimi trwały, szczery, przyjacielski stosunek, który się stanie osłodą jego życia i dźwignią moralną, której tak potrzebował. Wtedy ona już pewnie będzie żoną Copleya, na samo wspomnienie którego Andrzej czuł, że zaczyna sympatyzować z Hoëlem Callockiem. Cokolwiekbądź jutro przyniesie przynajmniej dziś jeszcze należy do niego. Postawił więc cały oddać się rozkoszy obecnej chwili.

Zachód słońca był wspaniały, powódz blasków zalewała ziemię i morze, a białe, spienione fale mieniły się barwami tęczy. Całe towarzystwo zatrzymało się chwilę nad zatoką, potem idąc po piasku wybrzeża skierowało się ku zachodowi, z zamiarem przedostania się krętą i stromą ścieżką na wierzchołek skały, zkąd krótsza, powrotna droga wiodła do Swanbourne.

Pani Forde Cusacke i lady Zuzanna zajęte dziećmi, których starsza gromadka przyłączyła się do nich, pozostały nieco wtyle, a Gracya i Andrzej wyprzedzili ich nieco.

Ale dzieci opóźniały się na piaskach, pociągając starsze panie za sobą tak, że oboje młodzi raz i drugi przeszli nad morskim wałem milczący, zamyśleni, wsłuchując się we wrzaski dzikiego ptactwa i w cichy, rytmiczny szelest fali, odbijającej się od brzegu. Nie zauważyli, iż tam na dalekim widnokręgu, gdzie morze zdawało się zlewać z niebem, srebrzyste opary podnosiły się z głębin, przesłaniając jasność dzienną i kłębiącymi się tumanami ślizgać się zdawały po powierzchni wody.

— Patrz pan—odezwała się Gracya, wskazując na czarnego kormorana, zwisłego nieruchomo nad falą. — Wygląda na pozór tak niewinnie, czasami tylko zakołysze się w powietrzu jak okręt przytwierdzony do kotwicy. Zdawałoby się, że jest pogrążony w spokojnem dumaniu, tymczasem niegodziwiec czyha na jakąś biedną ofiarę, aby ją pożreć.

— Zkąd pani wie, że nie medytuje on nad zagadkami wszechświata, jak mędrzec tybetański zatopiony w wewnętrzne widzenie? — odparł Andrzej. — W najgorszym razie dopomaga on tylko do zrównoważenia zwierzęcego życia w głębinach morskich. Spełnia prawo natury. Cóż w tem widzisz pani gorszącego?

Kwestya względnej moralności kormorana otworzyła szerokie pole do dyskusyi nad różnemi niewyjaśnionemi zagadkami życia. Rozmowa przedłużyła się aż do chwili, kiedy zimne dreszcze ostrzegły ich, iż cali spowici byli w mgłę, z po za której nic nie było widać o kilka kroków.

— To mgła morska — objaśniła Gracya przypatrując się białym oparom kłębiącym się u dołu jak fantastyczy korowód duchów.

— Przesiąkniesz pani cała wilgocią i nabawisz się silnego kataru — rzekł Andrzej zaniepokojony.

— O! nic mi nie będzie. To często się zdarza. Ręczę, że w Swanbourne słońce świeci jeszcze i powietrze jest przeźroczyte. Ale gdzież jest reszta naszego towarzystwa?

Zaczęli się niespokojnie oglądać za siebie, ale nikogo nie było widać z po za mgły. W przekonaniu, że pani Forde Cusacke, jako obeznana z miejscowością, musiała w porę cofnąć się z powrotem, oboje ruszyli naprzód przyspieszając kroku.

Rozmowa przeszła teraz na temat przyrodniczych zjawisk, które się okazały równie interesującemi, jak i kormoran. Tymczasem wielka tarcza słoneczna zatonęła w purpurowej topieli wód, a księżyc w pełni wypłynął na niebo. Fale coraz bliżej podpływały pod granitowy wał wyszczerbionych skał nadbrzeżnych.

— Panie Marlowe — zawołała Gracya, zatrzymując się nagle — zmyliliśmy drogę.

Było to nazbyt oczywistem. Mgła cała przeniosła się na ląd, oswobadzając morze tak, że z wyjątkiem skalistych szczytów, po których wspinali się mozolnie, widzieli tylko pod sobą wielką białą, ruchomą falę, kłębiącą się srebrną pianą.

— Morze napływa z taką niebywałą gwałtownością — rzekł Andrzej, przeklinając własną nieostrożność.

— Jedyną naszą nadzieją ratunku teraz jest dostać się na drugą stronę zatoki, zanim fala tam dosięgnie — spokojnie rzekła Gracya.

Pobiegli naprzód, a tymczasem fale nacierały coraz bliżej i coraz gwałtowniej tak, że zmusiły ich cofnąć się w najgłębszy kąt zatoki.

— Niech pani uchwyci się mego ramienia! — zawołał Andrzej — i podążajmy naprzód co sił.

— Zdążymy na czas... uspokój się pan. Ręka w rękę, to będzie bezpieczniej — odparła odważna dziewczyna.

Skały, których podnóża podmyte były wodą, wznosiły się wysoko po nad ich głowami. Całe morze zdawało się cisnąć do zwężonego łożyska zatoki. Naraz biały, spieniony bałwan rozprysnął się o ścianę skały w miejscu dokąd przypływ rzadko kiedy dosięgał. Andrzej dziwnym wzrokiem spojrzał na Gracyę. Wydawało mu się niepodobnem, aby mogli w tych warunkach okrążyć stromy wał zagradzający morze.

— Strzeż się pan dziesiątej fali... fali Wirgiliusza! — zawołała Gracya, biegnąc naprzód. — Bądź pan spokojny! Wszystko będzie dobrze.

Trzymając się za ręce, biegli co sił po wilgotnych i osuwających się kępach ziemi, po śliskich wyżłobieniach skał, zdyszani oboje, obryzgani pianą. Andrzej z bijącem sercem liczył każdą nową falę lecącą ku nim z głębin morskich, a w chwili kiedy wyliczył ósmą, noga jego pośliznęła się o kamień i pewnie nie byłby zdążył podnieść się w porę, aby uniknąć owej fatalnej dziesiątej, gdyby delikatna dłoń dziewczęcia nie zawarła się nad jego własną z żelazną siłą, która szarpnęła go w górę, przywracając mu równowagę.

Nareszcie po nadludzkich prawie wysiłkach wydostali się na szczyt, w chwili gdy dziesiąta fala z łoskotem rozbiła się o granitową pierś kamiennego olbrzyma.

Stali naprzeciw siebie, oczyma tonąc w oczach. Andrzej w obu drżących rękach trzymał dłonie dziewczęcia.

— Gracyo! — zawołał namiętnym głosem. — Gracyo!...

Czarne jego oczy pałały. Zaciskał usta do krwi, jakby tłumiąc przemocą jakieś słowa, które rwały się z głębi piersi. Ona wzruszona była także. Źrenice jej błyszczały ogniem niewysłowionego uczucia; białe, delikatne ręce zsiniały w namiętnym konwulsyjnym uścisku jego dłoni, nie czuła jednak bólu, ani zmęczenia.

— Przelękłam się — rzekła, zaczerpując oddechu.

— Przelękłaś się! a ja... ja, który omal że nie pociągnąłem cię za sobą do tej czarnej otchłani!... O Boże wielki! I tyś mnie podtrzymała...ty... temi maleńkiemi, drżącemi rączkami!...

— Nabyłam siły w ręku od wprawy w konnej jeździe — rzekła, wycofując swoje dłonie.— Tak, przyznaję się, byłam w śmiertelnym strachu, bo nie było chwili do stracenia.

Spojrzała drżąca w szumiącą głębinę zatoki.

— Niewiele brakowało, abyśmy leżeli tam na dnie — rzekła.

— Dałby Bóg, abym tam był pozostał — pomyślał w duchu.

ROZDZIAŁ II.

Stała przed nim cała w bieli i w blaskach wschodzącego księżyca, z błyszczącemi oczyma, zarumienioną twarzą, oddychająca młodością i życiem, choć świeżo ocalona ze szponów śmierci.

On wpatrywał się w nią, czując, że obłęd rozpaczy go chwyta. Jak tam na wzburzonem morzu fala biła za falą, tak jemu krew napływała do głowy tłumnemi, rozgorączkowanemi myślami, które rozsadzały mu czaszkę, głuszyły głos rozsądku i sumienia, tortury wzniecając w głębi udręczonego serca.

Odwrócił od niej oczy w stronę morza, potem wpatrzył się blady i milczący w samotną gwiazdę zapalającą się na niebie. Gdyby Gracya była przemówiła do niego w tej chwili, byłby runął u nóg jej i wyznał wszystko. Ale ona także była milcząca i zamyślona.

Ach! gdyby mógł o niej zapomnieć! gdyby mógł z serca swego wyrwać wspomnienie tej chwili, kiedy tak blizką była niego, że dość mu było przemówić słowo, wyciągnąć rękę, by ją posiąść... na zawsze!

Starał się przywieść na pamięć córkę swoją, pokrzywdzoną młodą żonę, aby się oprzeć pokusie tego widma nigdy niedoścignionego szczęścia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego, Zarządca W. Hodak.